

POWRÓT CHURCHILLA

Niestrudzony premier Wielkiej Brytanii, przykład niebawale energii żywotnej i rozruch, powrócił z nowej podróży. Po raz piąty spotkał się w toku tej wojny z Rooseveltem, po raz drugi w tym roku odwiedził Afrykę Północną. Zjawili się tam niespodzianie, chociaż doniesienia niemieckie tym razem były słuszne, kiedy mówiły, że Churchill przebywa w Gibraltarze. Widocznie szpiechy niemieckie siedzący w La Linea oraz Algeciras są lepsi, aniżeli inni wywiadowcy /służba wywiadu niemieckiego mocno się popsuła ostatnio; jest to dowodem, że wszystko zaczyna kuleć w kraju idealnej organizacji/.

Niewątpliwie samoloty niemieckie polowały na aparat, którym Churchill leciał. Dowodem na to jest zestrzelenie samolotu pasażerskiego na linii Lizbona-Londyn: Niemcy "dla pewności" zestrzelili i ten samolot, chociaż było niemal wykluczone, by premier brytyjski leciał tą maszyną. Najwidoczniej jednak to były nie z całego i nie chciano przepuścić żadnej maszyny. Raz jeszcze okazało się, że panowanie w powietrzu na zachodzie Europy nie należy już do Niemców i że komunikacja odbywać się może bez większych przeszkód.

Nie wiemy jeszcze, jakie są owoce narad waszyngtońskich i afrykańskich Churchilla /w afrykańskich rozmowach wziął udział również p. Eden/. Przypuszczalnie jednak są to rzeczy doniosłe, skoro Churchill zaraz po przylocie do Londynu zwołał radę gabinetową. Spodziewać się należy jakichś interesujących posunięć. Napewno sytuacja, jaka wytworzyła się w ciągu ostatnich tygodni budzić musi liczne zapytania: co dalej i jak dalej? Czy Niemcy ruszą na Wschodzie, a jeżeli nie, to jak przedstawiać się będzie sytuacja na froncie rosyjskim? Czy możliwy jest całkowity zastój na tym froncie, przyczem armia czerwona przeszłaby do uderzenia dopiero w "swojej" porze: późną jesienią i w zimie? Jak przedstawia się sytuacja we Włoszech? Czy dojdzie do ataku jeszcze w tym roku na ląd stały Europy, czy też ograniczymy się do zdobycia przedpola: Sardynii, Korsyki, Sycylii, ewentualnie wysp na Morzu Egejskim?

Na te wszystkie pytania da odpowiedź tylko — czas. Na razie, trzeba to przyznać otwarcie, położenie jest mocno nieprzejrzyste.

ZASTÓJ NA FRONCIE WSCHODNIM?

Wyrażaliśmy na tym miejscu niezręczne zdanie, że

1/ front wschodni jest dla Rzeszy koniecznością i dlatego spodziewać się należy uderzenia w lecie. 2/ Rzesza, rozumiejąc wagę rozstrzygnięcia — w tym czy innym sensie — na tym froncie, zrobi

olbrzymi wysiłek, ażeby doprowadzić do tego rozstrzygnięcia.

W rozumowaniu tym pozornie nie się nie zmieniło: front wschodni jest dalej niezmiernie dla Rzeszy doniosły, wszystkie fronty raczej Rzesza zaniedba czy "puści," aniżeli front rosyjski. Zachodzi jednak pytanie, czy Rzesza nie postanowiła "przeoczeknąć" na tym froncie i czy w tym roku w ogóle ruszy się ofensywnie niemiecka?

Pierwsze doniesienia neutralne mówiły o wielkich koncentracjach wojsk w krajach bałtyckich, o transportach Bałtykiem, o masach wojsk pancernych pod Leningradem, skupieniach "Luftwaffe." Wydawało się, że uderzenie niemieckie wymierzone będzie na Leningrad i Moskwę, przy czym nie powinno ono przyjść później, aniżeli w połowie czerwca. Dzisiaj mamy już połowę czerwca na karku, a jeszcze nie widać śladu uderzeń niemieckich. Przeciwnie, sowiecka flota lotnicza uderza coraz mocniej, "Luftwaffe" nie przejawia większej aktywności, która by wróżyła przejście do wielkiego uderzenia lądowego.

W tych warunkach coraz częściej pojawia się za granicami Rzeszy pogląd, że wojska niemieckie w tym roku nie uderzą. Teoria ta narodziła się grubo przed przemówieniem radiowym generała Dietmara, który napomknął nieśmiało o takiej właśnie możliwości. Twierdzenie podobne zyskuje obecnie coraz więcej szans prawdopodobieństwa. Innymi słowy,

Z tygodnia na tydzień

30 maja: W nocy z 29/30 polskie dywizyjony bombowe brały udział w nalocie na Wuppertahl. Wszystkie załogi polskie powróciły.

Dziewięć okrętów francuskiej marynarki wojennej, znajdujących się od czasu kapitulacji Francji w porcie Aleksandrijskim, przeszło dobrowolnie na stronę Sprzymierzonych.

31 maja: Gen. Sikorski odbył w czasie swego pobytu w Kairze drugą z kolei konferencję z gen. Henry M. Wilsonem, głównodowodzącym alianckich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie.

General Sikorski przeprowadził inspekcję obozu junaków oraz szkoły łączności i mechaniki R.A.F. w Egipcie.

Polskie dywizyjony myśliwskie dwukrotnie przeprowadzały "wymiatanie" nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela oraz dwukrotnie ostentacyjnie wyprawy bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.

"Wehrmacht" szedłby wybitnie na walce obronna, starając się tymczasem wyłatać swoje braki w dziedzinie rekruta /cyfry rekrutkiego zapasów spadają w Rzeszy, albowiem idą obecnie t.zw. puste roczniki, roczniki z okresu po ubiegłej wojnie, z okresu inflacji, kiedy liczby urodzin w Rzeszy były niskie/, oraz uzbrojenia.

Rzesza czyni obecnie, jak świadczy o tym przemówienie Speera i innych, olbrzymi wysiłek uzbrojeniowy. Zaprzecza to całkowicie przechwałkom Hitlera, wypowiedzianym jeszcze przed sześciu miesiącami, że produkcja wojenna Rzeszy jest tak olbrzymia, że w pewnych działach trzeba było zaprzestać produkcji. Była to sugestia, że Rzesza może się już dzisiaj przestawić z "miecza na lemiech" w ograniczonej przynajmniej mierze i że tym samym nadchodzi era pomyślności, a braki żywnościowe przestaną wrzeszczeć dolegać.

Ten wysiłek niemiecki dowodzi dwóch rzeczy:

1/ Rzesza przekonała się, że nie jest dostatecznie uzbrojona ani na Wschodzie ani na Zachodzie i że lotnictwo jej jest zbyt słabe. Czyni ona olbrzymi wysiłek, ażeby zyskać "lokalną przewagę" sprzętu i ażeby umocnić swoje władanie Europą.

2/ straty, jakie zadano niemieckiemu przemysłowi wojennemu są jednak poważne. Nie wiemy, jak przestawiają się one w cyfrach. Jedne dane mówią o 30-tu procentach, co

wyduje się grubo przesadzone, inne o 10-ciu procentach, co wydaje się o wiele bliższe prawdy. W każdym razie straty te są rzeczywiste i nie zanosi się na to, ażeby ich cyfra spadała.

Czy Rzesza może sobie pozwolić na rok "urlopu," w czasie którego wzmoże produkcję w okręgach mniej bombardowanych albo na razie nieatakowanych, przeskoli nowego rekruta, umocni swoje linie obrony, da swojej ludności oddech i odstrani nadmierne wielkości? Czy tego rodzaju niezwyklej plan jest do wykonania?

Nie potrafimy na to pytanie odpowiedzieć. Zachodzi drugie pytanie: czy armia sowiecka będzie przypatrywać się biernie niemieckiemu "odpoczynkowi" i czy Sowiety przejdą również na tego rodzaju "lizanie się z ran" w czasie wojny? Jeżeli tak, czy na froncie wschodnim nie zajdzie po prostu przerwa w walkach?

Byłoby to jeszcze jeden paradoks tej osobliwej wojny, ale paradoks bynajmniej niewykluczony.

Jeżeli by istotnie wypadki szły w tym kierunku — na razie brakuje jeszcze wielu elementów, ażeby można orzec z wszelką pewnością, że tak będzie — to wówczas na armiach anglosaskich tym bardziej spoczywa obowiązek ruszenia na Europę. Obowiązek taki będzie jeszcze trudniejszy, aniżeli myślamy, albowiem armie sojusznicze działałyby przeciwko Europie niejako same.

Należy odzekać z dalszymi wnioskami. Ale trzeba być przygotowanym na niespodzianki.

UGODA W AFRYCE FRANCUSKIEJ

Uzyskanie zgody w Afryce Francuskiej nie było łatwym zadaniem. Powołanie do życia władzy tymczasowej przyszło bardzo ciężko. Liczne intrzygi, posunięcia personalne i t.d. wiele zaciemniały obraz. Osobiste urazy i podejrzenia bynajmniej nie zostały usunięte, ale wszystko zdaje się dowodzić, że jednak nie rozleci się ta "święta" zgoda francuska.

Churchill odegrał wielką rolę w sklepieniu tej zgody. Giraud przejawiał spory takt, generał Catroux okazał się człowiekiem wiele potrzebnym, dobrym dyplomatą. Oczywiście terenu z ludzi pokroju Peyroutona zostało zresztą przeprowadzone. Wiemy jednak, że n.p. dymisja Peyroutona złożona na ręce de Gaulle'a o mało nie wywołała burzy: de Gaulle nie miał formalnego prawa przyjęcia tej dymisji, albowiem naczelna władza dalej jeszcze była w rękach Gifauda. Stary generał zareagował na posunięcie młodszego kolegi bardzo stanowczo: mianował admirała Muselier na stanowisko bardzo wybitne.

Było to ostrzeżenie przyjacielskie, ale bardzo na czasie. Wydaje się, że dla ruchu de Gaulle'a byłoby to celowe, gdyby je zrozumiano. Tworzenie mitu koło jego osoby wydaje się czymś przedczesnym i czymś, co nie pachnie najlepiej. Wiemy, że na takim podłożu zbyt łatwo rodzą się wszelkie późniejsze dyktatury; wszelkie dyktatury kamuflowane mogą właśnie w tej atmosferze powstawać. Francja ma przed sobą do odbycia długą drogę i napewno nie wszystko będzie tak, jakby chcieli przyjaciele Francji. Nie widzimy jednak dlaczego Francja miałaby tworzyć plk. de la Rocque w nowym wydaniu; wojsko winno być we Francji siłą, ale nie powinno jednak wchodzić na arenę polityczną. Mimo wszystko Francja Clemenceau'a była silniejsza, aniżeli Francja — Pétain'a.

Trzeba na tym miejscu wyrazić uznanie dla przyjaznego stanowiska U.S.A. oraz rządu brytyjskiego wobec kryzysu francuskiego. Dzięki temu stanowisku udało się uniknąć wielu nieprzyjemności. Gdyby rządy tych państw poszły za wołaniem rozmaitych krzykaczy, którzy wzywali do "czystki elementów faszystowskich," gdyby istotnie natychmiast zabrano się do kuchni politycznej — wynik byłby żalony. Dzięki umiarowi i cierpliwości uzyskano uspokojenie, doprowadzono do stopniowego wyłączenia ludzi niepożądanych. Kraje Afryki ptn. nie zostały objęte niepokojami.

Ta inicjatywa anglo-amerykańska dobrze wróży przyszłym podobnym rozwiązaniom — już w Europie.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

KOMPROMITACJA ADMIRAŁA DOENITZA

"Dowiodę, że okręty podwodne same mogą wygrać wojnę" — twierdził Grossadmiral Doenitz niespełna trzy miesiące temu. "Okręt podwodny nie boi się bardziej samolotu, niż kret kruką" — wołał do swych załóg. — "Z samolotami będziemy walczyli na powierzchni!"

Proroctwa te stały się Doenitzowi kosią w gardle. I niewiadomo czy Hitler będzie swemu "Grossadmiralowi" za nie wdzięczny. Bo że podważył one ducha nie tylko wśród podwodników niemieckich, ale i w całych Niemczech — to rzecz jasna.

Cyfra zatopień za maj, podana przez oficjalne źródła niemieckie, znów spada. W marcu Berlin głosił, że przy pomocy okrętów podwodnych zatopili 857,000 ton, w kwietniu 415,000 ton, w maju już tylko 380,000... Cyfry te — w myśl słów Pierwszego Lorda Admiralicji — są ordynarnie przesadzone. Tym nie mniej proporcja jest charakterystyczna.

Po różnych niezgodnych tłumaczeniach między rzecznikami niemieckiej kwatery głównej, dowództwa marynarki i biura propagandy, gdzie wynajdywano najroźnorodniejsze wykrety gwoli podniesienia ducha w narodzie niemieckim — Goebbels znalazł nową wymówkę. Radio berlińskie oświadczyło urbi et orbi, że cyfra zatopień spadła, bo... Atlantyk jest pusty. Po prostu nie ma kogo torpedować!

Bardzo to piękny wybieg, mający na celu przekonanie wygodzonego i bombardowanego mieszkańca Niemiec o skuteczności wojny podwodnej. Ot po prostu: albo Alianci stracili już tyle statków, że nie mają czym pływać po Atlantyku, bądź też niemieckie okręty podwodne spędziły, konwoje Sprzymierzonych z morza i statki nie osmielają się, pod grozą zatopienia, wysunąć nosa z portów.

Ba, ale tym tak pięknym wywodom przeczą najpierw słowa admirała Lützowa — rzecznika niemieckiej marynarki wojennej — o szalonych trudnościach i niebezpieczeństwach, czyhających na niemieckie okręty podwodne, o rosnącym przeciwdziałaniu, o jakichś nowych wynalazkach angielskich czy amerykańskich przeciwko podwodnemu niebezpieczeństwu. No i przeczą sama cyfra zatopień, acz przesadzona, to dowodząca, że aby można było zatopić tyle statków, trzeba znaleźć przeciwnika na morzu. A więc

przeciwnik wciąż pływa. I Atlantyk bynajmniej nie jest pusty.

Tak oto pan Goebbels ze swymi pomocnikami załgał się raz jeszcze. A teraz parę słów prawdy z przemówienia Pierwszego Lorda Admiralicji Brytyjskiej:

"Zaden z miesięcy wojennych nie był tak pomyślny w walce z okrętami podwodnymi nieprzyjaciela, jak ostatni maj. Straty w tonażu handlowym Sprzymierzonych były najmniejsze z pośród ostatnich sześciu miesięcy, natomiast straty niemieckich okrętów podwodnych większe niż kiedykolwiek. Przekraczają one w każdym razie ilość nowych okrętów podwodnych, jakie nieprzyjacieli mogliby wprowadzić do akcji. Poza tym dużo okrętów podwodnych zostało uszkodzonych, a stałe bombardowania zarówno ich podstaw operacyjnych, jak i przemysłu niemieckiego, przyczyniły się do dalszych strat i obniżenia produkcji."

I teraz najważniejsze. W odpowiedzi na oświadczenie niemieckie o "pustce na Atlantyku." Pierwszy Lord Admiralicji stwierdził:

"Poczynając od Nowego Roku 1942, jeszcze w żadnym miesiącu import morski Wielkiej Brytanii nie osiągnął tak wielkich rozmiarów, jak w maju bieżącego roku."

Oto słowa, które napewno pójda nie w smak propagatorom niemieckim. A sens ich Niemcy odczują niebawem na własnej skórze.

I jakże wygląda teraz admirał Doenitz ze swoim zapewnieniem, że okręty podwodne same wygrają wojnę, a nawet odsuną od kontynentu europejskiego niebezpieczeństwo inwazji. Jeszcze chyba nigdy dowódca na morzu nie skompromitował się w podobny sposób.

Na zakończenie można wyjaśnić, że systematyczne przegrywanie bitwy o Atlantyk i o komunikacje morskie przez Niemcy, nie świadczy bynajmniej o bezużyteczności okrętów podwodnych w nowoczesnej wojnie, albo o bezwzględnej przewadze lotniczej nad okrętami. Dowód na to, że tak nie jest, są choćby sukcesy podwodnych okrętów brytyjskich i Sprzymierzonych /a w tym i polskich/ na Morzu Śródziemnym. Aby jednak panować na morzu, trzeba mieć nie tylko okręty podwodne, lecz także i wszystkie kategorie okrętów

1 czerwca: Gen. Sikorski przybył samolotem z Kairu do miejscowości w nalocie na Wschodzie. Po przybyciu Naczelnym Wódz wydał rozkaz do żołnierzy, w którym mówi: "Stoją przed nami wielkie trudności. Polska ma wielu możliwych wrogów. Przewyżczymy ich przez utrzymanie dotychczasowej naszej jedności."

3 czerwca: Powstał Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego, jako centralna władza Francji walczącej przeciwko państwu "osi," pod przewodnictwem generałów Giraud i de Gaulle.

General Sikorski dokonał inspekcji Dywizji Kresowej Armii Polskiej na Wschodzie.

Po uroczystym nabożeństwie ks. biskup Gawlina wygłosił kazanie, w którym powiedział m.in.: "Naczelnym Wodzu Twoja obecność tutaj jest czymś więcej niż symbolem, jest dokumentem prawdziwej polskiej jedności i dowodem, że Polacy, gdziekolwiek się znajdują, nie złożyli

broni."

General Sikorski przemawiając do żołnierzy powiedział m.in.: "Droga, która prowadzi do wielkości jest twarda i trudna. Wymaga dużych ofiar, ale jest jedyną drogą dla Polaków. To co widziałem dotychczas na Środkowym Wschodzie, potwierdza moje przekonanie, że na drodze bezwzględnej obowiązku — najwyższego obowiązku jako Kraj zna, bo obowiązku żołnierskiego — osiągnięcie wolności, niezależności, większą i bardziej sprawiedliwą Polskę."

Na zakończenie inspekcji odbyła się defilada, którą prowadził gen. Szyszko-Bohusz.

4 czerwca: Proaliantka rewolucja wojskowa w Argentynie przeciwko rządowi prezydenta Castillo.

Piloci polscy stoczyli dwie walki z myśliwcami niemieckimi nad brzegami południowo-wschodniej Anglii. W czasie tych działań pilot polski zestrzelił napewno jednego FW-190. Wszyscy piloci polscy powrócili.

Wojna na morzu

nawodnych — jednym słowem flotę w taktycznym tego słowa pojęciu. I trzeba flocie tej dać pełną współpracę własnego lotnictwa.

Tymczasem flota nawodna "osi" nauczona smutnym doświadczeniem nie osmiela się działać na szerszych wodach. A lotnictwo niemieckie nie posiadając już dawnej przewagi, ogranicza się do mordowania kobiet i dzieci w spokojnych wsiach i miasteczkach.

To też zamiast straszyć Anglię nowymi represjami lotniczymi, Niemcy lepiej zrobili używając resztek rezerw Luftwaffe do bardziej militarnych zadań. Bo nowe okrucieństwa, jeśli nastąpią, pobudzić mogą tylko ducha zemsty. I sprawia, że godzina porachunku będzie dla Niemców jeszcze bardziej dotkliwa. Im więcej zbrodni, tym sroższa kara.

A kary tej nie już odwrócić nie zdoła, tak jak nie zdołały zmienić położenia na morzu okręty podwodne Doenitza.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Komunikat włoski podaje, że w ciągu maja okręty podwodne i samoloty "osi" zatopiły na Morzu Śródziemnym 13 transportowców /88,000 ton/, jeden okręt podwodny, oraz uszkodziły krążownik i 3 kontrtorpedowce.

Gdyby cyfry te rzeczywiście były prawdziwe i pozbawione zwykłej przesady "osiowej," to i tak zastanowić by się trzeba nad ich znikomością. Przecież agencje niemieckie

i hiszpańskie co dzień niemal trąbia o przechodzeniu przez Gibraltar dziesiątek i setek okrętów i statków przeciwnika, o koncentracjach w portach Afryki i Lewantu. Z drugiej strony wiemy, że tonaż sprzymierzony na Śródziemnomorzu należy liczyć na miliony. Zatopienie jednego okrętu podwodnego i 13 transportowców jest więc utopieniem muchy w jeziorze.

W chwili gdy piszemy te słowa, brak jeszcze wiadomości o wielkiej operacji Sprzymierzonych. Ale już — z góry — stwierdzić można, że siły morsko-lotnicze W. Brytanii i jej Sprzymierzeńców opanowały całkowicie sytuację i robią co chcą. Skoro nawet, "meldowane" usiłowanie przez Hiszpanów, konwoje i eskadry bez przeszkód mijają Gibraltar, skoro von Arnim nie zdołał wywakuować z Tunisu nawet drobnej części swych sił lądowych — bądź co bądź bardzo cennych w sprzecie i personelu /szczególnie jakościowo/, skoro flota brytyjska bezkarnie bombarduje Pantellarie, to jasne się staje, że siły morskie "osi" nie czują się zdolne do walki o panowanie na morzu.

Zatopienie 2 kontrtorpedowców i 3 transportowców włoskich w środku Cieśniny Messyńskiej przez kontrtorpedowce brytyjskie i to bez strat dla tych ostatnich — świadczy o tym najlepiej.

Możliwe, że nastąpią jeszcze spotkania w czasie desantów i na wodach przybrzeżnych, możliwe, że Sprzymierzeni poniosą tu straty, ale fakt faktem, że cała flota Mussoliniego, wspomaganą przez okręty podwodne i oficerów Hitlera, nie poważyła się wyjść na morze by pomóc Arnimowi, czy choćby usiłować wywieźć część jego ludzi. I ta flota nie płynie na pomoc zagrożonej Pantellarii. Natomiast pozwala się bombardować przez lotnictwo Sprzymierzonych w swej nowej kryjówe — Spezii.

Podkreślić należy, że O.R.P. "Byskawica" od początku desantu afrykańskiego /w listopadzie 1942/ walczył chlubnie na tych wodach, biorąc rewanż za Dunkierkę. Brał on udział w ewakuacji Dunkierki /1940/, przyczem wyholował z portu pod ogniem wroga, uszkodzony brytyjski kontrtorpedowiec "Greyhound" i doprowadził go szczęśliwie do Anglii.

NA ALEUTACH

Opór japoński na wyspie Attu skończył się. Komunikaty japońskie na pociechę twierdzą, że zatopiono przytem kilka amerykańskich okrętów wojennych. Komunikaty U.S.A. zaprzeczają temu stanowczo. W każdym razie Aleuty są pozycją strategiczną ważną. I to tym bardziej, że pożądana tak bardzo przez Amerykanów współpraca sowiecka na Dalekim Wschodzie nie istnieje. Ma to skądinąd tę dobrą stronę, że transporty na statkach sowieckich płyną z Ameryki do Władywostoku niezaczepiane przez Japończyków.

W chwili obecnej wysiłek amerykański skierowany jest na wyspę Kiska.

ADMIRAŁ YAMAMOTO NIE ŻYJE

Podpora reżimu faszystowskiego w Japonii i jeden z głównych podlegaczy wojny, człowiek, który oświadczył, że warunki pokoju dyktowane będą z Białego Domu w Waszyngtonie — nie żyje. Admirał Yamamoto, dowódca floty japońskiej, jeśli wierzyć komunikatom z Tokio, zginął kilka tygodni temu w walce powietrznej. Samolot jego został zestrzelony przez Amerykanów. I to akurat w chwili gdy admirał kierował operacjami między Nową Gwineą a Archipelagiem Salomona.

Jedno rozczarowanie zostało admirałowi japońskiemu oszczędzone. Bo właśnie przed kilku dniami komunikat amerykański podał, że z 19 okrętów wojennych U.S.A., zbombardowanych w Pearl Harbour, tylko pięć nie powróciło do służby. Pozostałe 14 już wyremontowano, licząc w to 3 wielkie pancerniki.

FLOTA FRANCUSKA

Eskaadra francuska, dotychczas przebywająca w Aleksandrii, w składzie pancernika, trzech krążowników ciężkich, krążownika lekkiego, trzech kontrtorpedowców i okrętu podwodnego — przyłączyła się do Francji Walczącej. Daje to Sprzymierzonym pomoc nie do pogardzenia. I to tym bardziej, że po za pancernikiem, wszystkie te okręty są najzupełniej nowoczesne.

W nadchodzących operacjach, gdyby chodziło o desant w Południowej Francji lub na Korsyce, okręty francuskie, znające doskonale te wody i mające niewątpliwie przyjaźniół na brzegu, mogą odegrać dużą rolę.

JULIAN GINSBERT

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE? ST. JAMES' BALM ANTIVIRUS OINTMENT DESTROYS GERMS AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT Send for FREE SAMPLE MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

Jan Grudziński

II. Legenda*



Dowódca O.R.P. "Orzeł"

Jest głęboka cisza. Siwe mgły przesuwały się leniwie po wybrzeżu i zaspana ziemia odchodzi w dal. Dymy się strzępią nad dachami. Głos morza staje się łagodny i miękki. Ma w sobie dziwną mądrość i ukojenie.

Idziemy brzegiem morza, brzegiem tego głosu, który w nas zapada jak kołysanka. Idziemy we dwóch; moim towarzyszem jest Tadzio Stefanicki. Był ze mną w Korpusie Kadetów, lecz ukończył go rok po mnie, gdyż repetował siódmą klasę. Tadzio, jak dawno go pamiętam, nigdy nie był poważny. Słynął z zamiłowań aktorskich. Układał sam skecze i krótkie komedie. Nie lubiłem ich, gdyż człowiek wychodził w nich zawsze mały, małostkowy, zalutujący nicością i pyłem. Gdy zajmiesz się nim baczniej, w ręku pozostanie okruszyna śmiecia. Było to gorsze, niż gdyby był zbrodniarzem, lub szaleńcem.

Z Tadzciem nigdy nie można było mówić o rzeczach wzniosłych, lub chociażby ponadprzeciętnych. Umysł Tadzcia wtedy wysilał się, by dobrać się do tego od kuchni swoim sposobem, by znaleźć w tym najmniejszą stabilizację. Gdy przemawiają do niego głosem, świadczącym o uniesieniu, o namiętności, o zachwycie, o porywach entuzjazmu, Tadzio uśmiecha się kącikami ust, potakuje głową. Nie potakuje tylko z grzeczności. On słucha naprawdę, lecz nie bierze tego w siebie, nie wchłania. Słucha zimno i rzeczowo. Jego umysł pracuje. Nagle w oczach zapalają się błyski. Tadzio znalazł to, czego szukał. Za chwilę ośmieszyp publicznie tego, którego wysłuchiwał.

Z tym oto Tadzciem idę brzegiem morza. Za nami zostały już dwie przegrane kampanie, polska i francuska. Szykujemy się do następnej.

—Do trzech razy sztuka — mówi Tadzio.

Wspominamy naszych kolegów z Korpusu, którzy odeszli: Aleksandra, który miał polec od pocisku artylerii, Mietka, dowódcę dyonu myśliwskiego, którego zestrzelił "Messerschmitt" i Janka, dowódcę "Orla."

—Kto czym wojuje, od tego ginie — uogólnia te zdarzenia Tadzio.

Ja mówię mało. Z Tadzciem zeszedłem się przypadkowo. Lubię go w kabarecie i na boisku sportowym, razi mnie na pogrzebie i na odczynie. Teraz właśnie jestem w nastroju raczej pogrzebowym, który gna precz od ludzi. Jestem odarty ze starego życia, a jednak żyję. Czyni mnie to człowiekiem ponad wiek starym. Lubię morze i samotność. Tadzio doczepiony w tej chwili do mnie jest mi zupełnie obcy i nieprzyjazny. Sam poruszył tematy, które tkwią głęboko we mnie. Nie mogę ich jednak podejmować i rozwijać, bo znam Tadzcia. Wiem, że czyha na sposobność, by wsadzić w mój patos i melancholię swój brutalny, kabaretowy dowcip. Przeważnie

Tadzio zdejmując czapkę, nastawia pierś do wiatru i wygląda tak jakby oczekiwał skądś odpowiedzi. Twarz jego przybiera piękny, lecz zupełnie obcy dla mnie wyraz. Wiatr rusza ładnymi, kruczymi kędziorami.

—Stworzył Legendę — słyszę jeszcze raz słowa wypowiedziane tak po prostu jakby to było stwierdzeniem stanu pogody. Równocześnie jest w tych słowach nuta czci i dumy.

Zaczynamy iść znowu, lecz mój towarzysz milczy, jakby w obawie, żebym nie zdrasnął tego nowego uczucia, z którym się przede mną zdradził.

Zwir skrzypi pod nogami i polyskują w nim muszle. Galaretowate meduzy rozlane na żwirze widokiem swojej bolesnej niemocy krzyczą o tym, że należą, lub należały także do życia, które z nich zadrwiło. Jakiś kaprys fali, jakiś przypadek nieprzezwycięzalny i oto życie przechodzi do porządku dziennego tak samo nad rozkładającą się na ostrym piasku meduzą, jak i nad żołnierzem, którego pochłonięła fala wojny.

W pół roku po tej rozmowie dwusilnikowy samolot wjechał z dobrej wysokości w ziemię. Stanął na ziemi angielskiej mały, skromny krzyż z napisem: "Kapitan Tadeusz Stefanicki. Poległ śmiercią lotnika."

Wyobrażam sobie, że gdyby zabity mógł powstać na krótko z grobu, zakpiłby sam ze siebie i ze swojego pogrzebu. Największą bowiem radością w jego życiu były kpiny, nie uznające żadnej zaślugi, ni świętości. Jeden jedyny wyłom w tym, jedyna niekonsekwencja podczas osiemnastu lat mojej z nim znajomości, nastąpiła właśnie wtedy tam, gdyśmy szli żwirzem pomiędzy meduzami i lupinami muszli, przerwą pomiędzy jednym życiem skończonym a drugim jeszcze niezaczętym.

* * *

Przechodząc przez ciemny i zbombardowany Liverpool, tak ciemny, że aż dziki i okropny w swym zaprzeczeniu piękności życia, zostałem zaczepiony przez podbite indywiduum w zaszmelcowanym ubraniu.

—Ej panie Polak! Ja też jestem z Polski. Chodź bracie na jednego drinka.

Spojrzałem uważniej. Brat kołysał się na nogach, ale miał gębę dość uczciwą. Była to jedna z twarzy ciężko pracującego człowieka, który złapał trochę luzu w pracy. Poczulem do niego sympatię. Może za tę twarz zryta troskami, może za tę ręce szorstkie i grube, może za tę chropowatą polską mowę brzmiącą niespodzie-

wanie w obcym mieście. Poszedłem na drinka.

Był palaczem z jakiegoś polskiego transportowca. Pokazywał swoje kostropate, pełne blizn ręce i bił się kuliakiem w piersi, gdy chciał nadać siły przekonania swoim zdaniom. Musiałem palić jednego po drugim papierosa, którymi mnie częstował.

—Bierz pan, to mnie kosztuje grosze. — Papierosy były amerykańskie. Pasowały doskonale do atmosfery nasiąknięj dymem, do czerwonych, kołyszących się twarzy i *whisky and soda*.

Zapłaciłem i chciałem wyjść. Mój towarzysz zapalał szlachetnym oburzeniem. Musiałem dać mu możliwość rewanzu. Nabrał do mnie niebываłego zaufania i opowiadał o przemysłowości celników, szukających kontrabandy na statku. Jak wiadomo na sposoby są sposoby inne. Dowiedziałem się o wielu pożytecznych i ciekawych kryjówek na okręcie, które pozwalają zrenić ukrywać papierosy. Wymienił mi kwotę w dolarach i funtach, którą ma złożoną w banku.

—Pan jest zamożnym człowiekiem.

Machnął ręką. To nic. W jego zamiarach jest mieć o wiele więcej. Wtedy wróci do Polski, kupi sobie dom i założy biuro handlu z zagranicą.

Wróci do Polski. Słowa stały się ostrożne i miękkie. Ten człowiek o duszy podobnej do krzemienia robił się nagle inny.

—Panie, takiego kraju! A taki naród! Człek poznał cholerny kawał świata. A pan myśli może — zagadnął zaczepnie — że chciałbym być Amerykaninem albo Brytyjczykiem. Nigdy! Nie ma na świecie narodu, jak nasz. A nasze miasta! Miechów — tam się urodziłem. A już nie mówię o Warszawie i Gdyni. Panie, znał pan Gdynię?

Gdynia! Bębnił palcami po stole i patrzył przez zadymiony pokój i pijackie gęby jak gdyby w przeszłość.

—Ten Hitler i te Niemcy to jednak mądre. Oni mieli rację, że uderzyli na nas. A jakby nie uderzyli, to Polska stałaby się tak silna, że połamałoby na niej zęby. Aż serce rosło w człowieku, gdy patrzył na naszą Gdynię, na naszą marynarkę. Po dwudziestym roku mieliśmy tylko piasek i wiatr, a jakem widział ostatni raz naszą flotę, to aż nie chciało się wierzyć, że to wszystko nasze. No i pokazaliśmy przecież Szwabom, że Polak na morzu też coś znaczy. Słyszal pan o "Orle"?

—Słyszałem.

—Hallo barman, two *whiskies* more.

—Za dużo, nie pijam tyle.

Schwycił mnie za rękę.

—Musi pan wypić. Pan wie na czyją cześć będziemy pić? Na cześć komandora Grudzińskiego, co to dowodził "Orlem." Tego, co zatopił "Rio de Janeiro." Tego, co uciekł z ręki Szwabom. Leży teraz na dnie morza. Jak wrócić do Gdyni, to pierwszy dam pieniądze na jego pomnik.

—Czy pan wie, że on zginął? — zapytałem.

Podsunał mi *whisky* i nachylił się do mnie, jakby miał szwedzkie tajemnice. Mówił rzeczywiście półgłosem, wybijając palcem w powietrzu potwierdzenie tej historii.

—Pan wie, "Orzeł" to był podwodny krążownik. On mógł obracać do Ameryki "w te i we wte" bez niczyjej pomocy. Otóż, jak oni tu przybyli, Anglicy ich chcieli puścić na Wschód. Ale Polacy powiedzieli, że muszą iść tam, gdzie są Niemcy. Więc posłali ich pod Norwegię. Wtedy "Orzeł" potopił tamtych dranion transporty. Morze zasiało cały brzeg Norwegii trupami Szwabów. A drugi raz to im przypadł bardzo zły sektor, bo morze było płytkie, Anglicy ich znowu nie chcieli puścić, ale Polacy powiedzieli, że muszą pójść. No i poszli. A kiedy już wleźli pod sam brzeg niemiecki, to wytrypili ich samoloty i obrzuciły bombami. "Orzeł" miał uszkodzenia i nie mógł płynąć. Wtedy przeleźli do nocy, a w nocy wyszli na powierzchnię i natrafili na szwedzki statek. Kapitan kazał wszystkim ładować się na niego. Jak się załadowali patrzą, a dowódca został na "Orle." — "Zegnajcie chłopcy" — powiada do nich i schodzi do włazu. Stamtąd krzyknął im — "Niech żyje Polska!" — i tyle go widzieli. "Orzeł," tak jak był z otwartym włazem, poszedł pod wodę.

—A co z resztą załogi? —

—Storpedował ich niemiecki okręt wojenny.

—Niemcy Szwedów!

Popatrzył na mnie, jak naiwne dziecko. Miał zakrwawione oczy i zmęczoną twarz. Włosy lepiły się nad czołem od występującego potu.

—Wzięli ich za kogo innego. Potem wyłowili kilku rozbitków. Polacy też tam byli. Są teraz w obozie jeńców w Gdyni.

Przypomniał o nalanych kieliszkach.

—Na cześć dowódcy "Orla." Jak to głupio w życiu marynarskim — uśmiechnął się z sarkazmem — uśmiechnął się z sarkazmem — Nawet nie można powiedzieć: "Niech mu ziemia lekka będzie" — wpuścił w siebie *whisky* ruchem przyzwyczajonym i desperackim, poczym westchnął gorzko z samego dna swoich uczuć.

—"Orzeł" ... Komandor Grudziński ... — zszeptał, jakby wypowiadał wyczone wiersze.

—Chodźmy już — powiedziałem.

Odrzącił kieliszek raptownie.

—Dobra. Już więcej dziś nie piję. Chodźmy.

Wyszliśmy. Wiatr chłodny i wilgotny kręcił kurzem i niósł w powietrzu śmiecie z chodników. Jakies strzępy papierów, niedopałki z papierosów, zużyte bilety tramwajowe, ziarna piasku biły w twarz. Raptownie przejście z gorącej, dymnej atmosfery baru w surową i zimną noc podziało na mego towarzysza, jakby wypił więcej kolejek, niż wypił w rzeczywistości. Zatoczył się na miękkich nogach, złapał kogoś w pód, wybelkotał: "I am sorry." Długo szukał mojej ręki. Gdy ją znalazł, trzął nią szczerze, bratersko i ścisnął z całej duszy.

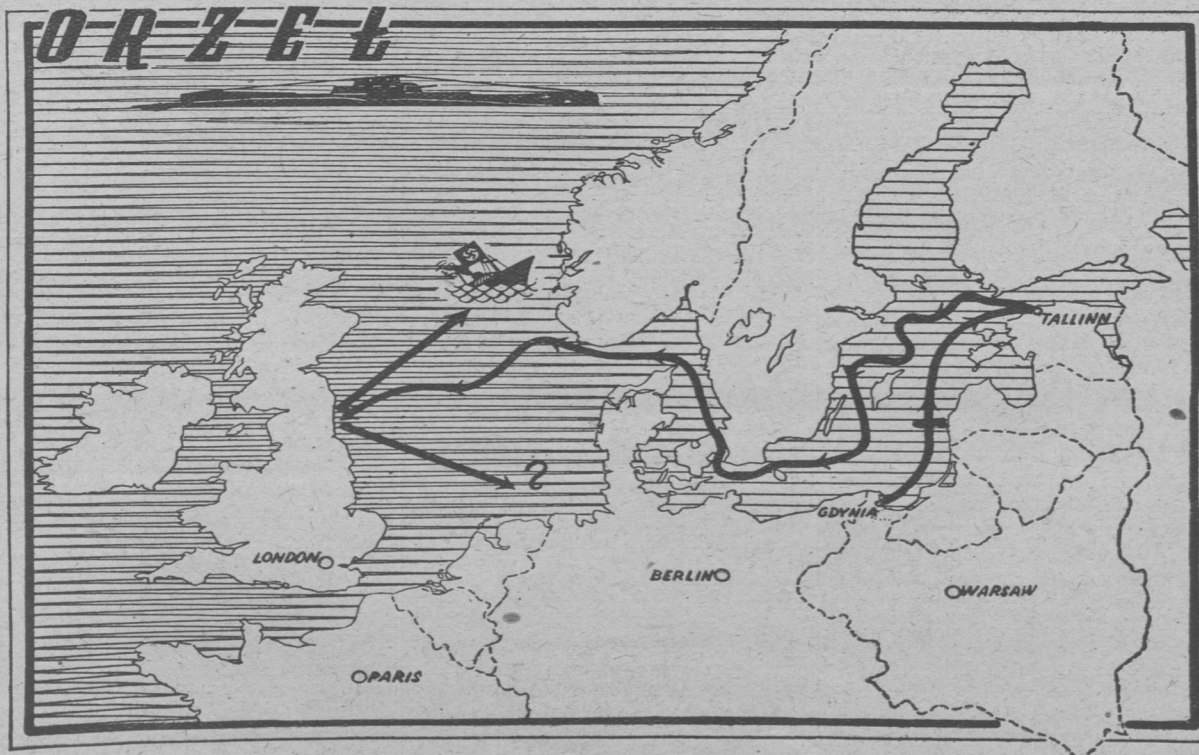
—A jakby pan potrzebował papierosów albo *whisky*, to proszę tylko szepnąć słówko. Czy pan pamięta mój adres? ... Dobrze. Więc do zobaczenia.

Gdy zacząłem stawiać kroki w kierunku swojej kwatery, usłyszałem wraz z podmuchami wiatru słowa piosenki, nuconej pijacką modulacją "piosenki," która stała się dla wielu życiowym credo.

"Morze, nasze morze
Będziem ciebie wiernie strzec,
Mamy rozkaz cię utrzymać
Albo na dnie twoim leć."

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Rysunek z książki Petera Jordan'a: "First to fight"



* Por. część pierwszą: "Gdynia," druk w nr. 22 "Polski Walczącej" z b.r.

Wspomnienia z oblężonego Tobruku

IV.*

Noce stawały się coraz chłodniejsze i za dnia słońce nie przysięgało już tak silnie, jak przedtem. Na błękitnym niebie ukazywały się teraz nierzadko ciężkie ołowiane chmury a wiatry pustynne bywały chłodne i przenikliwe. Zaczęła się jesień, smutna, naga, afrykańska — bez kolorowych, zwiedłych liści, bez ptaków odlatujących daleko i bez owiec powracających stadami do zagród. Pustynna jesień nie niesie ludziom ukojenia i ciszy, nie ma w sobie powagi i majestatu, w który przyodziewa się polska przyroda gotując się do zimowego spoczynku.

Tak tu pusto... A gdy przyjdą gwałtowne wichury jesienne, miotające piaskiem, gdy niebo się zachmurzy, trudno się wtedy oprzeć uczuciu osamotnienia, opuszczenia i bezbrzeżnego smutku.

Rozstanie się z Józkiem pozostawiło po sobie trwałe ślad — przytępił ból zepchnięty na dno świadomości. Dziwna obojętność wobec wypadku okazała się tylko czasowym znieczuleniem, naturalną reakcją psychiki broniącej się przed nadmiarem cierpienia. Odczuwano brak Józka coraz silniej. Z innymi kolegami nie potrafiłem się żyć. Nie miałem wielkiej ochoty do zwierzeń, lub długich dyskusji, które przedtem skracali mi dłużący się czas.

W wolnych chwilach oddawałem się czytaniu Pisma Świętego. Ma ono w sobie olbrzymią siłę. Potrzeba mi było takiej pomocy z zewnątrz, szczególnie, że przeżywałem wówczas coś, co można by nazwać kuszeniem szatana. Mówił św. Łukasz o niemym demonie, który opętał pewnego człowieka. Miewałem wrażenie, że niemy demon w chwilach osamotnienia zbliża się do mnie, przekonuje mnie i rozbudza we mnie uczucia, które są przeciwko wierze w Boga i Ojczyznę. Ów niemy demon /bo nie przemawiał do mnie, ani go nie widziałem/ podsuwał mi natrętne myśli, pełne zwątpienia o prawdziwe Najwyższej Miłości, a słuszności naszej sprawy. Nasuwały mi się na myśl pozornie prawdziwe przekonania o panowaniu przeznaczenia nad światem lub o wielkorządztwie szatana.

W kilka dni po odwiezieniu Józka do szpitala wyruszyliśmy wieczorem na wyprawę całym plutonem. Zadaniem naszym było ostrzelać drogę Bardia — Derna, którą Włosi dowozili nocami amunicji i beton do budowy umocnień. Chodziło o to, by im nagłe zrobić niespodziankę i w najbardziej nieoczekiwanym dla nich momencie zaskoczyć ich dalekim ogniem karabinów maszynowych, czyli "dać im ducha," jak mawiał "Mały Kapitan," dowódca naszej kompanii. Wyjechaliśmy zaraz po zapadnięciu zmroku. Niebo było chmurne i nie widać było księżycy. Przedostawała się przez chmury tylko mława poświata miesieczna i rozświetlała drogę samochodom z żołnierzami.

Droga wiodła przez szosę pełną lejów od pocisków armatnich. Co chwila doznawaliśmy gwałtownych wstrząsów i sprzęt podskakiwał na parę cali w górę. Trzeba było mocno się trzymać, żeby nie wylecieć i trzeba było bardzo uważać, żeby czego nie zgubić. Po kwadransie takiej jazdy zjechaliśmy w bok. Wyboje i dziury utrudniały posuwanie się jeszcze bardziej, niż poprzednio. Droga pogorszyła się a równocześnie zwiększyło się niebezpieczeństwo wjechania na minę. Pierwszy wóz jechał powoli.

Porucznik, dowódca plutonu wyszedł z samochodu i idąc przed kolumną wypatrywał, czy czasem nie ma min na drodze. Nie odstraszało go to wcale, że jeśli by nieopatrznie wszedł na zasadzkę, pierwszy wyleciałby w powietrze. Wiedział on o tym dobrze. Zrozumiał wtedy w pełni treść powiedzenia: "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego." Mimo, iż przeważnie nie lubiłem swoich przełożonych, tym razem dowódca plutonu pozyskał mój szacunek i sympatię. Zresztą nie tylko u mnie takie postępowanie to najlepsza droga do serca podwładnych żołnierzy. Wiedział o tym Napoleon, kiedy sam biegł pierwszy prowa-



Na ulicach Tobruku

dząc natarcie na most pod Arcole... Śmiałym szczęście sprzyja. Porucznikowi naszemu nie się nie stało i bez żadnych przygód dojechalibyśmy do miejsca przeznaczenia.

Samochody zostały w wąwozie, a my powędrowaliśmy kamienistą ścieżką do wylotu piaszczystej kotliny. Po drodze minęliśmy stanowiska artylerii przeciwpancernej. Na zboczach kotliny widniały rozbite, opustoszałe schrony.

Dowódca plutonu ze swoim zastępcą przygotowywali na miejscu plan ognioy i sprawdzali stanowiska. Wkrótce wszystko było gotowe. Z "tamtej strony" dochodził przyciszony gwar. To betoniarce pod osłoną nocy pracowały nad budową umocnień i silniki samochodów pracowały blisko szosy. Głosy te można było łatwo rozróżnić, bo wiatr wiał w naszą stronę. Chociaż wszystko było gotowe, czekaliśmy prawie całą godzinę na rozpoczęcie ognia.

Około północy padł rozkaz: Ognia! Na całym odcinku frontu tylko nasz pluton strzelał, bo wokół panowała zupełna cisza. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że obudzimy artylerię albo moździerze. Kiedy wszystkie nasze karabiny wystrzelały po taśmie, artyleria nieprzyjacielska obudziła się i zaczęła nas po omacku szukać w ciemności. Później Włosi puścili parę rakiet. Jednak stanowiska były tak dobrze zamaskowane, że nikt nie byłby ich w stanie z daleka zauważyć. Artyleria pomacała wzgórze, górna część wąwozu i zapadła w głęboki sen. Podobnie opęda się człowiek we śnie przed natrętą mchą.

Puściliśmy znowu trochę pocisków w stronę szosy, lecz już w połowie taśmy przerwano nam. Pociski włoskiej artylerii padały bardzo blisko. Tak blisko, że trzeba było "związać cały interes" i przenosić się na stanowiska zapasowe. Kanonada trwała parę minut i znów wszystko ucichło.

Dokończyliśmy już zaczęte taśmy z nowych zapasowych stanowisk. Artyleria ponownie starała się nas przyciszyć, lecz bezskutecznie. Kilkakrotnie zmienialiśmy stanowiska i kilkakrotnie włoska artyleria starała się nas wykryć. Taka zabawa trwała aż do świtu. Jaki był efekt naszej strzelaniny, trudno powiedzieć. Wystrzelaliśmy po 6 taśm na karabin z wyjątkiem jednego, który się nieuleczalnie zepsuł.

Rano schroniliśmy się wraz ze

sprzętem w głębokich, zacisznych grotach wąwozu. Cały dzień zszedł nam na siedzeniu w pieczarze i przygotowaniu sprzętu na wieczorne występy. W grotcie było bardzo miło i spokojnie. W takim miejscu łatwo zapomnieć, że na świecie latwo się wojna. W nocy znowu bawiliśmy się "w ciuci-babkę" z artylerią włoską.

W ten sposób spędziliśmy cały tydzień. Poza czyszczeniem sprzętu i spaniem we dnie było nieco wolnego czasu. Pisałem pamiętnik i czytałem. Ponieważ życie na froncie jest bardzo monotonne, bywały dni, że napisałem datę na kartce pamiętnika i nie wiedziałem, czym wypełnić pustą przestrzeń. Często pisałem dwa słowa: "jak zwykle," albo "bez zmian." Coraz częściej ogarniała mnie jękliwa bezmyślność. Pragnąłem zmiany. Jakiegokolwiek rodzaju zmiany.

Czytałem stale Pismo Święte, by się przed napadami bezmyślnego smutku obronić. Znajdowałem w obrazach biblijnych rozrywkę i ucieczkę od monotonnej i niezbyt radosnej rzeczywistości. Kilkanaście razy z rzędu czytałem w tym czasie "Księgę Ruth." Nie mogłem się od niej oderwać. Wyobrażenia prawie gorączkowa, rozbudzona pustką okolicy ukazywała mi zielone gaje oliwne w ziemi Moab, drogę górzystą mijającą wioski i miasteczka, daleką drogę, co wiodła Ruth — Moabitkę do ojczyzny przybranej matki... A potem słiczne, kolorowe obrazy żniw... Słowa księgi pachniały wsią w czas jesieni i zbiorów. Całe lato ludzie pracują i nie mają czasu, by myśleć. Na jesień gdy zbliża się bezpłodny okres ziemi, ludzie przygotowują sobie zapasy i namyślają się nad tym, co zrobić, by jak najlepiej przetrwać do następnych zbiorów. A gdy się myśli o troskach powszednich tak łatwo popaść w zamyślenie.

Przyszła z dalekiej ziemi Ruth Moabitka, za świekrą swoją, ufna, że Pan Zastępów ma ją w swojej opiece. Przyjął ją do siebie Booz, sprawiedliwy i dobry... Księga... księga prastara jak pieśń o łanach zboża, o chlebie, o wsi, o miłości ufnej i pokornej, o przywiązaniu człowieka do rodziny, o błogosławionych uczuciach w sercu ludzkim, o litości, o osamotnieniu, o żalu i słowach pełnych pocieszenia.

Jakiż ogromny kontrast między uczuciami, które budziła ta księga a rzeczywistością. Pismo św. jest

W okopach pod Tobrukiem



księgą żywota. Księgą życia. Znajdują się w nim opisy zażartych walk i potwornych mordów, opowiadania o ucisku i powstaniach przeciw uciskowi. Są tam pieśni natchnione, są wiersze o miłości. Właśnie teraz na pustyni, na froncie, najbardziej odpowiadają mi czytanie "Księgi Ruth" i "Pieśni nad pieśniami." Księga Mądrości wydawała mi się tutaj nieaktualna i bezużyteczna. Na cóż się bowiem przyda mądrość Eklezjasty, kiedy tu trzeba kierować się raczej instynktem i mieć spryt zwierzęcy.

"Księga Ruth" i "Pieśń nad pieśniami" były dla mnie symbolem tego, co zostało daleko za murem, za siecią granic, za górami i za lasami. Bo przecież "teraz u nas we wsi żniwa," a w "Księdze Ruth" o żniwach mowa. U nas też chodzą biedni ludzie zbierać pozostawione na ściernisku kłosa. A "Pieśń nad pieśniami" niedokończona zagłuszyła wybuchy pocisków, zadusił warkot motorów, zdławił huk okutych butów bijących o bruk. Jeny po nocach kiedy przychodzą senne zjawy, wargi przez sen szepczą słowa z "Pieśni nad pieśniami": "O jakaś ty piękna, przyjaciółko moja..." Ale zjawy nie powracają nigdy, jak nie powraca przeszłość.

Czytałem Biblię w pieczarze wąwozu, siedząc na skrzynce od amunicji. Chwilami zapomniałem, gdzie jestem. A obok koledzy graли w karty z wielkim zainteresowaniem, bo gra szła o wysoką stawkę. Nie było to ani ich ani moją winą, że nie mogliśmy się żyć.

Po tygodniu powróciliśmy na poprzednie miejsce postoju. Wreszcie zaszła oczekiwana zmiana. Miano wysłać po kilku z każdego plutonu na wzmocnienie pewnych punktów obrony w batalionie piechoty. Ochotnicy /bo tym razem brano na ochotnika/ przeznaczeni byli do obsługi zdobycznych karabinów maszynowych. Na wieść o tym poszedłem zaraz do mego dowódcy plutonu. W parę dni po rozmowie z porucznikiem zabrałem swoje graty i wraz z kilkoma kolegami pojechałem samochodem na nowe stanowisko. Przybyliśmy na miejsce akurat w czasie rozdzielania żywności i amunicji na punkcie rozdzielczym.

Od tego miejsca trzeba było iść pieszo. Rzeczy położyliśmy na dwukółkowy ręczny wózek, którym transportowano prowiant i amunicję do okopów. Wózek ten miał bardzo wysokie koła i tę wadę, że

ciężko było go pchać. Zaletą natomiast jego było to, że nie posiadał motoru, który swoim warkotem mógłby zwrócić na siebie uwagę wroga. Pchaliśmy na zmianę z kolegami ten niewygodny wózek po jeszcze bardziej niewygodnej ścieżce. Ścieżkę wytyczyły dwie zielonawe szarfy rzucane poprzez pole minowe i miejscami przymocowane do puszek od benzyny lub kawałków blachy.

Wokół rozciągały się pola minowe. Należy bowiem pamiętać, że obrona tej twierdzy polegała na gęstej sieci pól minowych. Cały prawie obszar fortecy był zaminiowany. Przed zajęciem Tobruku przez Anglików minowali tu teren Włosi i Niemcy, a gdy przyszły oddziały brytyjskie poprzedni gospodarze nie pozostawili żadnych planów. Zresztą w pustyni niełatwo narysować plan i zaznaczyć gdzie się znajdują miny. Posługiwanie się bowiem mapami, szkicami i planami polega na porównywaniu widocznych punktów terenowych z innymi. A skąd tu wziąć w pustyni wybitne punkty terenowe? Natomiast wszelkie tyczki, trójnoży czy inne pomocnicze środki mają tę wadę, że mogą być wykorzystane przez nieprzyjaciela.*

Skoro burza piaskowa pokryła szarfy i przewracała lub pozasypywała puszkę od benzyny, nawet ludzie najbardziej obeznani z terenem stracili orientację. Stąd też wiele było wypadków wdepnięcia lub wjechania na minę. Mnóstwo ludzi w ten sposób utraciło życie i wielu doznało ciężkich ran i okaleczeń. Miny powodowały, że patroli musieli się posuwać bardzo wolno wyszukując w nocy miny po omacku, a samochody transportowe stale narażone były na niebezpieczeństwo.

Na nowym miejscu postoju wyznaczono mi schron ze strzelnicą. Miałem jeszcze jednego kolegę, z którym na zmianę obsługiwałem karabin. W schronie znajdowały się jeszcze dwa zdobyczne karabiny i dużo amunicji. Ale to miało służyć dopiero na wszelki wypadek. Nasi nowi sąsiedzi objaśnili nas, że jest to jedno z "najgorętszych miejsc na tym odcinku frontu." Na drugi dzień mieliśmy okazję przekonać się o tym.

Już o świcie zaczęła się kanonada. Niemcy /ten odcinek zajmowali Niemcy/ byli świetnie wstrzelani we wszystkie umocnienia po naszej stronie. Na szczęście te umocnienia były rzeczywiście mocne i wytrzymały nawet pociski ciężkiej artylerii. Był to najgorętszy, a zarazem najlepiej ufortyfikowany odcinek frontu. W betonowym schronie detonacje pocisków i terkotanie naszego cekaemu odbijały się huczącym echem. Po prostu głowa pękała od tego hałasu. Znalazłem radę i na to. Naciągnąłem sobie podkładkę od helmu na uszy i otworzyłem usta. Tego sposobu nauczył mnie pewien stary praktyk z wojny światowej.

Po południu niemieccy artylerzyści odpoczywali. W tym czasie zmieniliśmy lufę i wyczyściliśmy naszą "kozę" /takiego określenia używał nasz szef/. Pasza dla niej już była przygotowana w blaszanych skrzynkach. Co pewien czas od ściany schronu odbijały się kule z cekaemu nieprzyjacielskiego, górą lub bokiem świsłały charakterystycznym głosem pociski moździerza. Do tego dołączały często działka szybkostrzelne, których Niemcy i Włosi używali przeciw piechocie, jakkolwiek ich zasadniczym przeznaczeniem było zwalczanie pojazdów pancernych i obrona przeciwlotnicza.

Wieczór, mniej więcej około godziny siódmej, wszystko się uciszyło i ten stan pozornego zawieszenia broni trwał do jedenastej. Ustalił się bowiem na tym odcinku taki zwyczaj, by raczej nie strzelać między 7 — 11 wieczór. Dzięki temu można było spokojnie dowieźć żywność i amunicję. Czasami oczywiście nie stosowano się do tych zasad. Przeważnie jednak między 7 — 11 nie strzelano.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

* Por. nr. 16-17, 18 i 19 "Polski Walczący" z b.r.

SKRZYDŁA NAD ŚWIĄTEM

B.D.I.C



1.

Słyszysz, jak błękit jęczy
i jak powietrze drży —
to rwie po mostach z tęczy
eskadra 303.

Przepada w mgłach — i wraca,
metalem w słońcu skrzy,
rozsrebrza się, rozlata —
eskadra 303.

I wali w blask, gdzie złotem
słoneczny opar mży,
oślepiającym lotem,
eskadra — 303 . . .

2.

Noc w noc nas ze snu budzi motorów waszych grzmot,
biegniemy do ogrodu patrzeć w bezdenne niebo,
w tę stronę, gdzie grzechotem przewala się wasz lot,
huczący, jak kamienie w gardłach tatrzańskich żlebów.

Czasem na chwilę gwiazdę zakryje jeden z was,
czasem przez blade księżyc przesunie się cień
skrzydła —

i znów powraca cisza: wiemy, że jeszcze raz
zastawia na was Zguba swoje pajęczne siła.

Minuta po minucie opada w mgłę, jak olów —
gdzie wy jesteście teraz, nad zjawą jakich miast?
Co grozi wam w tej chwili — gniew ludzi, czy
żywołów —

wam, duchom zabłąkanym wśród pękających gwiazd?
Co się tam dołem ściele — kurzawa sennych dymów,
czy szachownica pól, czy smugi czarnych rzek?
Kto pisze tam, na niebie, serię iskrzących rymów?
Kto między was, wirazem, zza chmur jak jastrząb
wbiegł?

Nie ma was wciąż i nie ma, i czarna noc się dłuży,
aż wreszcie głuchy grzechot oznajmia, że to wy —
Zczyście wrócili wszyscy? I co wam los wyrzószył,
husarski regimencie, eskadro 303?

3.

Chrystus Wawelski, z lewej nawy w głębi
patrzy na długi korowód poległych —
anioły Boże, jak stada gołębi,
nieś ich gotowe, na Wawel się zbiegły —

a oni idą, bezszelestne duchy,
przez próg wawelski ku lotniskom śmierci,
groby coś szepcą, szeptem szarym, głuchym,
Chrystus się schylił ze śmiertelnej żerdzi —

anioły Boże na gzymsach, na wieżach
poblaskiem skrzydeł rozsrebrzyły wszystko —
wrota katedry otwarte na ścieżaj — —
— a kraj wokół, jak pobojuwisko . . .

4.

Chryste, czarną nocą objęty — błogostaw,
zwól, by nasza siła
na Grunwaldzkich mogiłach
wyrasta.

Chryste Potęgi
zwól
kamieniem z Twojej Reki
ugodzić w czoło Goliata.

Otucho Świata,
Sędzio i Panie —
Ty nam będziesz hetmanit,
Ty nam będziesz dowodził
w tym krzyżowym pochodzie,
w tych zmaganiach i bojach —

bo nie ludzka to wojna
a TWOJA —

— o Imię Twoje, o Królestwo Twoje,
o Wolę Twoją na niebie i ziemi,
o chleb powszedni dla ciała i ducha —

Chryste — wystuchaj,
NA POKUSZENIE ZEMSTY NAS NIE WÓDZ,
drapieżnych bestii w nas nie budź,
i zbaw ode złego,
nas, na tę wojnę nie — ludzką,
a Twoją
idących . . .

5.

Błogostaw, Panie,
pęd maszyn
i tętno rwące
serc naszych.

Błogostaw, Panie
tę przestrzeń
i skrzydła, kładzione
na wietrze —

i doleń naszą błogostaw
na służbę twardą i prostą.

6.

Nie czarne sępy my i nie mściciele,
i nie keryksy z upiornej kwadrygi —
blaskiem płoniemy, jak świece w kościele,
i ziejem ogniem w oczy czarnej strzygi,
wyroki Twoje dźwigamy aż w błękit
i w czarne szanice piorunami walim,
my, ostoięci znakiem Twojej Męki
i Twej Korony cierniami zuchwali.

7.

O zachodzącym słońcu
w cieniu skrzydeł maszyny

usiąść i marzyć — —
my — wszyscy tacy sami,
i w oczach to samo,
i w twarzy.

Na podtoczonej torpedzie
położyć rękę
i marzyć —
kiedy nas los powiedzie
o zmroku,
zza pierzastych obłoków,
zza mgły —

a może tam,
gdzie nie był jeszcze żaden —
na Berchtesgaden?

Na zimnej bombie
położyć gorącą dłoń . . .

8.

Motor sprawdzony i torpeda leży,
auto-cysterna przed maszyną stoi —
zwólże mi, Panie, bym jak święty Jerzy
zażgął potwora ciosem włóczni mojej —

Zwólże mi, Panie, bym jak ów, na Rhodos,
plugawca zmiażdżył i dał wytchnąć światu —
a jeśli ścieżki me ku śmierci wiodą,
zwycięstwo, Panie, daj mojemu bratu,

daj mu się modlić, jak zawsze, jak codzień,
by, za to piekło i za otchłań męki,
ów przeklinany po wsze czasy zbrodzień
padł, poszarpany, BOMBĄ Z POLSKIEJ REKI.

9.

Zmierzyć się z piekłem, zmierzyć,
wiarą w tę łaskę żyć,
legendą o świętym Jerzym,
w błękit się wzbić . . .
O zachodzącym słońcu
w cieniu skrzydeł maszyny
usiąść i marzyć —

Słuchać, jak biją godziny,
patrzeć, jak słońce
nad morską chyli się toń —

Na zimnej bombie
gorącą położyć dłoń . . .

10.

Płynąć i płynąć na wahliwych skrzydłach
i przeskakiwać w pędzie chłonne piaski mroków,
czuć, jak wszystko się przeży i trzeszczy w spoidlach,
tarczowym pługiem śmigieł pruć łany obłoków —

Minąć szczytów Alpejskich srebrne lodozorze,
iść nad linią Rodanu jak ptak nad strumieniem,
wypaść rybitwą śmigłą nad Śródziemne Morze,
dostrzec Mare Ligure za Korsyki cieniem

i dopaść wreszcie tam, w sieć srebrnych smug — —
i wracać —
jak żywy bumerang — jak wystrzelona rasa . . .

11.

Minuta po minucie opada w mgłę, jak otów —
mija coś w oknach chmur — zwidzenia wsi, czy miast,
a śmigła rwą i rwą te mgły, jak lan popiołów
pod deszczem mlecznych dróg i pękających gwiazd . . .

EDWARD LIGOCKI



Zaciąg ochotników z nad rzeki Ivai

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Z końcem lutego br. osady polskie położone nad rzeką Ivai po raz pierwszy gościły u siebie przedstawiciela Polski Walczącej, pułkownika Juliana M..., który zwiedza od jakiegoś czasu kolonie polskie w Paranie i przeprowadza zaciąg ochotników do Armii Polskiej w Szkocji. Osady nad Ivai dawno już nie przeżywały tylu wrażeń jednocześnie, bo to i pierwsza od czasu wprowadzenia nacjonalizacji urzędowa wizyta przedstawiciela Polski — i jednocześnie wyjazd na wojnę! Z jednej strony koniec zakazu zbierania się, mówienia i śpiewania po polsku, z drugiej zaś konieczność powzięcia przez jednego decyzji — jechać czy zostać? ... Być — albo nie być! Ale te wahania osadnik polski pod zwrotnikiem zwykły jest rozstrzygać już po brazylijsku "com paciência."

Przyjazd pułkownika poprzedził nad Ivai echa przyjęcia i parady, jakie mu urządził 13 pułk piechoty parańskiej w Ponta Grossa. Głosiło o tym radio, z P. Grossy, to samo, które do niedawna jeszcze wielbiło "bohaterstwo" armii niemieckiej. Pisał o tym dzienniczek "Diario dos Campos," ten sam, który dotychczas starał się unikać wzmianki o wojsku polskim. Usłyszeliśmy nad Ivai, że pułk 13-ty wystąpił z orkiestrą, która odegrała poprawnie "Jeszcze Polska nie zginęła," że dowódca pułku przedstawił pułkownikowi M... wszystkich oficerów (nawet niemieckiego pochodzenia!), że odbyło się przyjęcie w kasynie i wzniesło mowy o braterstwie broni, następnie rewanzowy cocktail pułkownika w hotelu, przyjęcie przez Kolonię polską i przygotowania Kolonii żydowskiej do uroczystego przyjęcia gościa.

Ludziska w lasach słuchali, dziwili się, nawet i nie dowierzali. Pesymiści powiadali nawet, że "skoro tam naszego Pułkownika tak fetują w tej siedzibie 5-ej kolumny, to gotów do nas w te krzaki wcale nie przyjechać..."

Tym przypuszczeniem sprzyjały codzienne ulewy, które przerwały komunikację. Siostry polskie w parafii Calmon dwa razy z rzędu pitrasily obiad na przyjęcie gościa i ludzi z okolicy ze-

brało się mnóstwo — a tymczasem Pułkownik przyjechał dopiero w kilka dni później, no i trafił zaledwie na podwieczorek...

Do Terezyny przybył w nocy w towarzystwie obu księży z parafii Ivai a już następnego dnia o świcie najmłodszy ochotnik z Parany Zbyszek W. pędził konno do Apukarany i Morskiej Woli z zawiadomieniem o terminach zgromadzeń. Dorzecze Ivai stanęło pod znakiem mobilizacji, bo osobny goniec pędził z Terezyny do odległego o 5 mil Hervalzinho, po drugiej stronie rzeki.

Nastrój mobilizacyjny trwał już od kilku dni. Z Terezyny wyjechało przed tym dwóch ochotników do komisji lekarskiej w Kurytybie, obaj koloniści, których rodzice przed trzydziestoma z górą laty przywieźli na rękę. Z nad Ivai tylko ci jeszcze mogą liczyć na przyjęcie do wojska polskiego, którzy Polski już nie pamiętają, bo kto pamięta jeszcze Stary Kraj, ten i sam jest za stary do wojska.

Z Terezyny wyruszyliśmy na zachód wozem z budą brezentową od deszczu i od tej chwili ten wóz cygański reprezentował niejako

ruchomą kwaterę główną Pułkownika w objęzdzie werbunkowym. Nie można twierdzić, by ta "kwatery" grzeszyła zbytnią wygodą albo szybkością ruchu... Na szczęście przy drodze prowadzącej do White Westu parańskiego mieszkają rodacy słynący ze staropolskiej gościnności. Na Tres Bicos u pp. Pogorzelskich spaliliśmy pierwszej nocy w tym samym pokoju, w którym w 1933-cim zamieszkał dzisiejszy Prezydent Rzeczypospolitej w czasie swej podróży nad Ivai.

Z każdym dniem podróży oddalaliśmy się od cywilizacji. Oto już 180-ty kilometr od najbliższej stacji kolejowej. Po lewej stronie drogi z rzadka czernieją w zaroślach szatały indyjskie, po prawej zaś bieleją stosunkowo nowe domy osadników sprowadzonych przez Ligę Morską.

Pokazują Pułkownikowi cmentarz Kaingansów, znany mi od kilkunastu lat. Omijamy uważnie z proboszczem zapadnięte wśród trawy mogiły. Są to już łochy otwarte, bo wierzchnia pokrywa z faszyny opadła i na dnie bieleją kości Indian grzebanych w pozy-

cji siedzącej w kuczki. Zajmująca gawęda na temat zwyczajów i wierzeń tubylców parańskich. Ale oto niedaleko już sklep p. Kubistego, b. lotnika z Polski i rekordzisty sportowego w Paranie. Przed sklepem oczekuje przybycia Pułkownika gromada osadników z Morskiej Woli — widać z tego, że goniec spełnił swe zadanie. Po przepłukaniu gardła do lokalu towarzystwa położonego na pięknym wznesieniu.

Na sali przeważają osadnicy przybyli niedawno przed tą wojną z Polski. Kiedy Pułkownik wyraża słowa pozdrowienia od Naczelnego Wodza przerywa mu gromki okrzyk: niech żyje! Ale po tym zaczyna się interesująca rozmowa, która miejscami przybiera ton dyskusji wiecowych. Widać, że to chłopci niedawno przybyli z Kraju, obcy wiecowo i wygadani. Czy nowa Polska będzie "naprawdę" demokratyczna, czy nie powtórzą się rzady klik, nadużycia etc? ... Niektórzy spodziewali się zaskoczyć Pułkownika interpelacjami. Ku ogólnemu zadowoleniu wszystko poszło jak z płatka.

Nowa Polska — powiedział Pułkownik — będzie taka, jaką odbudują i wywalczą sami Polacy, i ci co stąd pójda i stamtąd! Ktoś usiłuje sugerować Pułkownikowi, że interpelanci — to komuniści... ale my wszyscy wiemy, że to co szczerze wypowiedzieli, było głosem szerokich warstw ludowych w Polsce.

To też w najlepszym nastroju, po odsłuszeniu "Roty" udajemy się znów całą gromadą do sklepu p. Kubistego, razem z proboszczem na wieczór — a potem do późnej nocy trwają z całą gromadą "ciche rodaków rozmowy" o wojnie i o wyczynach żołnierzy polskich. Nazajutrz rano zgłaszają się ochotnicy. Niewielu, ale zawsze kilku najodważniejszych.

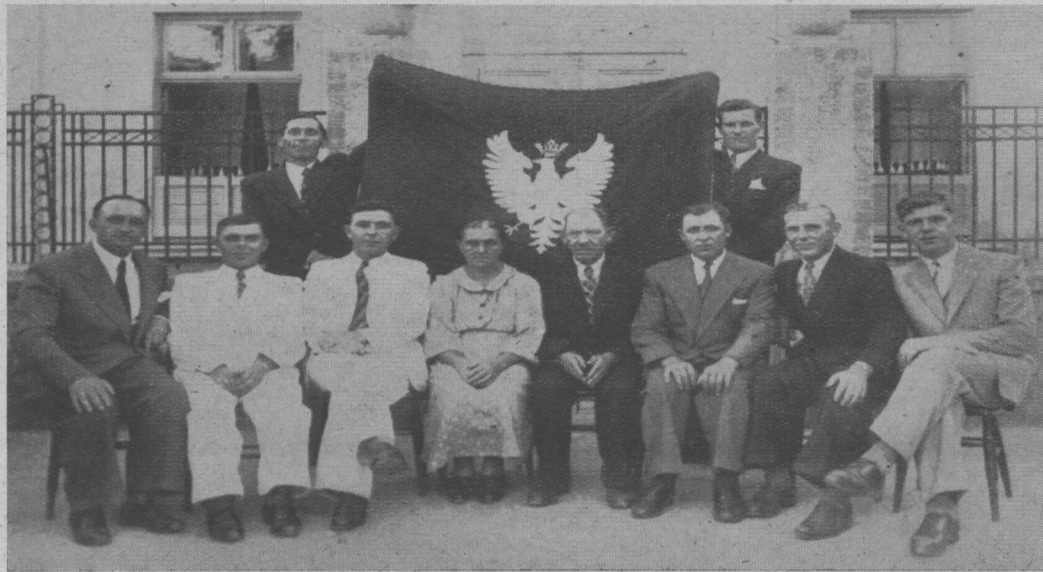
Powracamy tą samą drogą i tym razem po prawej stronie mamy federalny posterunek opieki nad Indianami (Posto indigena) oraz szkółkę dla Indian. Niestety, jak na złość, w szkole ani jednego Indianina, natomiast z daleka bieleją lłiane czupryny dzieci polskich. Szef posterunku Indian W. Gradowski z Kurytyby promienieje zadowoleniem z powodu wizyty i po doskonałej czarnej kawie robi na pamiątkę zdjęcie. Ciekawe zdjęcie: polski oficer sztabowy, polskie dzieci w indyjskiej szkole i opiekun Indian z ramienia rządu brazylijskiego — też polskiego pochodzenia!

Indian spotykamy dopiero po drodze. Tegóż dnia wieczorem mamy zebranie w dużej szkole dawnego towarzystwa polskiego w Apukaranie. Mało tu wprawdzie osadników z Polski w wieku wojskowym, ale i ci co są, przez sąsiedztwo z Niemcami zatruć jadem 5-jej kolumny. Patriotyzm pozostał tylko u starych. Na ochotnika zgłasza się tylko nauczyciel stanowy, już z drugiego pokolenia — tradycje dziada powstańca i katorżnika, krew polska co nigdy nie zawodzi. Miejscowi starzy narzekają na młodszymi, że skapcianieli.

Ano, nic to, bo mamy jeszcze przed sobą wyjazd do kolonii Hervalzinho, gdzie kolonia polska jest liczna i świeci przykładami swego przywiązania do ojczyźtych tradycji.

WŁADYSŁAW WÓJCIK

Rodzina Putoniów z Porto Alegre /Brazylia/. Sześciu synów Antoniego Putonia zgłosiło się ochotniczo do Wojska Polskiego



Rozkaz do rozpoczęcia akcji dostałem w Zabrzu 2-go maja wieczorem. Rozkaz, na który czekaliśmy tak długo... Z bijącym sercem wsiadłem do pociągu i odjechałem do swego oddziału, pod Głogówek.

Wszyscy byli na miejscu. Tylko nasz gospodarz pojechał do Grotkowiec w jakiejś sprawie gospodarczej i miał wrócić dopiero nazajutrz. To mnie trochę zmieszalo: nie byłem pewien, gdzie w stodole został zakopany materiał wybuchowy i amunicja, bo nie było mnie przy tym. Ale syn gospodarza, Franek, powiedział, że wie. Poszli tam z Pielokiem i po godzinie skrzynka z ekrazytem znalazła się w izbie.

Rozdzieliłem amunicję; zapakowaliśmy ekrazyt w paczki, przygotowaliśmy odcinki lontu potrzebnej długości, sprawdziliśmy splotki.

Gospodyni grzała dla nas kawę, ułożywszy do snu młodsze dzieci. Milczała i wzdychała ciężko, bardzo przejęta i strapiena. Nie pytała o nic, jakkolwiek musiała wiedzieć, że oto nadeszła chwila decydująca. Ze nasz pobyt u niej dobiegł końca. Ze teraz, po wyniku plebiscytu, który — jak to było do przewidzenia, wypadł na niekorzyść Polski w tym najodleglejszym krańcu Górnego Śląska, pod Nyssą — że teraz nastąpi coś, co zacyduje o całej przyszłości tej ziemi. O losach jej samej, męża i dzieci.

Nie miała nadziei: —Tu, o czterdzieści kilometrów na zachód od Odry?

Tu była stracona placówka. Tu przyjdą Niemcy...

Milczała, gdy żegnaliśmy się z nią, dziękując za wszystko. Popatrzyła mi w oczy: —Wróć tu ku nam kiedy? — zapytała. Powiedziałem, że wrócimy z wojskiem i pobijemy Niemców, nie bardzo w to wierząc. Myśle, że i ona w to nie uwierzyła... —Niech Bóg prowadzi.

Czwarte powstanie

Poszliśmy. Noc była ciemna. Mżył deszcz.

Prowadziłem moich trzech ludzi na przełaj, polami, najkrótszą drogą. Znałem tę drogę dobrze, a każdy z nich znał ją także. Po to przecież spędziliśmy tu sześć, czy siedem tygodni, aby trafić nawet po omacku, gdy przyjdzie chwila. A jednak w połowie drogi wydało mi się, że zabłądziłem.

Przystanęliśmy zdyszani. Spojrzałem na zegarek przy świetle elektrycznej latarki, starannie osłoniętej płaszczem. Było dwadzieścia minut po pierwszej. O drugiej miał nastąpić wybuch.

Niepewnie ruszyłem naprzód, pod górę. Wydała mi się bardziej stroma, niż dawniej. Świeżo zrana ziemia, rozmokła na deszczu, lepiała się do butów. Raz po raz ktoś z nas potykał się w brzdach.

Bez-tchu dotarliśmy do grzbietu wznesienia. Tu powinny zaczynać się zarośla dokoła brzoź przy granicznym kamieniu. Nie było ich... Na chybił trafił poszliśmy w lewo, choć Motocz mówił, że właśnie trzeba iść w prawo. Już chciałem zawrócić, gdy w dole, daleko przed nami błysnęły światła: stacja kolejowa!

Przybyło nam sił. Obeszliśmy z daleka cegielnię, przecięliśmy szosę i przez dworskie oziminy brnęliśmy wzdłuż toru kolejowego ku wiaduktowi.

Wtem głośny huk wstrząsnął powietrzem. Stanęliśmy jak wryci.

—Most na rzyce po-szedł! — powiedział Pielok.

Spojrzałem na zegarek. Była punkt druga. Od strony miasta słycać było alarm. W Głogówku zaczął bić dzwon kościelny. Przed nami na szosie przemknął samochód, rycząc klaksonem.

Pobiegliliśmy co sił. Od zachodu raz po raz dochodził grzmot dalekich wybuchów. Zanim przypadliśmy do skrzyżowania toru z szosą, naliczyłem ich z pięć. Mosty na Nyssie i na Odry, tory kolejowe, wiadukty wylatywały w powietrze jeden po drugim.

Alarm wzmagął się. Przez szosę pędziły samochody. Wyczekaliśmy dogodnej chwili i skoczyliśmy w dół, pod wiadukt.

Obaj z Pielokiem zakładaliśmy przygotowane ładunki między kratownicę filarów. Motocz wspiął się w górę aż do przesła i stękając z wysiłku uzbierał dźwigar.

—Teraz lont piorunujący. Bandys, saper z byłej niemieckiej armii, przygryzał zębami splotki.

—Z czuciem, Bandys, bo ci gębę oziępnie — upominał go Pielok.

—Jeszcze aby stręka — powiedział Motocz, stając przy mnie.

Odgrzebaliśmy żwir pod wewnętrzny szynami obu torów, na złączach. Założyliśmy żółte cegielki ekrazytu, przewinięte białym lontem piorunującym.

—Splotki i Bickford!

—Nie za krótko go ucinać —

mruknął Bandys — bo tu będzie pieroński trommel...

Z daleka, od strony Opola słycać było pociąg. Nad naszymi głowami znów zadudnił samochód. Przeczekaliśmy, ściskając w garściach pistolety gotowe do strzału. Pótem Pielok ostrożnie zapalił papieros i przytknął jego rozżarzony koniec do rdzenia lontu Bickforda. Zasyczały iskierki.

—Rückwerts! — powiedział Pielok.

Wdrapaliśmy się po stromym stoku wykopu, przebiegliśmy ze sto metrów i zapadliśmy w mokrą oziminę za szosą.

Pociąg z Opola zbliżał się. Liczyłem sekundy. Serce waliło mi w piersi, podchodziło do gardła, dusiło.

Po upływie minuty wybuch jeszcze nie nastąpił. Tylko pociąg dudnił coraz bliżej i biły dzwony we wszystkich okolicznych kościołach. Myśli przelatywały mi przez głowę jak huragan:

—Lont zgasił! Splotka źle założona! Dróżnik kolejowy odkrył zamach na torach!

Minęło jeszcze piętnaście sekund. Pociąg sapał na zakręcie o stopiędziesiąt metrów przed wiaduktem. Dwa motocykle, jeden za drugim śmignęły po szosie w kierunku Nyssy...

—Coś jest nie w porządku — powiedziałem do Pieloka. — Pójde zobaczyć. Kto idzie ze mną?

Pielok ścisnął mnie za ramię. W tej samej chwili ziemia drgnę-

ła, potężny huk targnął nocą, coś z wyciem przeleciało mi nad głową i grzmot walących się przesłał zadgotał w wykopie, a zaraz po nim ze szczykiem, zgrzytem i trzaskiem runęła z szyn lawina towarowych wagonów pociągu.

Było czternaście minut po drugiej...

W dwadzieścia cztery godziny później, po 90-kilometrowym marszu, dotarliśmy pod Wielkie Strzelce na miejsce zbiórki oddziałów destrukcyjnych. Trzecie powstanie na Górnym Śląsku zaczęło się 16 mostów, węzłów kolejowych i wiaduktów wyleciało w powietrze między godziną drugą a drugą minutą czternaście w nocy z drugiego na trzeci maja 1921 r., odcinając wojska niemieckie od tej części terytorium śląskiego, której dowództwo powstańcze postanowiło bronić.

Po tamtej stronie zostali jednak Polacy. Zostali między innymi ci, którzy świadomie narazili się na zemstę Niemców za udzieloną nam pomoc. Został nasz gospodarz, jego żona i pięcioro dzieci...

O ich losie dowiedziałem się dopiero po zawieszeniu broni. Niemcy — jak Niemcy — katowali ich nieuludzo, zarówno dzieciarnię, jak oboje dorosłych. Tylko on przetrzymał to wszystko. Całą rodzinę zameczył mu na śmierć.

Ale gdy skrwawionego, mdlejącego z bólu zapytał drwiako niemiecki oprawca, czy jest jeszcze Polakiem, chłop zza Odry odpowiedział hardo:

—Jo. Jo jest Połok i gdzie tu noga postawię, jest ziemio polska. Dziś ten chłop śląski staje się symbolem całej Polski. Bo i dziś gubernator Franck, czy inny psu-brat dostaje od każdego Polaka taką odpowiedź. A jutro — jutro pęknie władza niemiecka nad Polską. Czwarte powstanie obejmie całą Polskę ze Śląskiem na czele.

PORUCZNIK HERBERT

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1412 książek

Amerika mówi do Europy. Codziennie radio na różnych falach przynosi głos Nowego Świata. W ten głos warto się wstuchać dokładnie w chwili, gdy prolog do słynnego Churchillowskiego "początku końca," poprzedzany już jest niewiarygodnie uwerturą "fortec," latających co dzień i co noc nad Niemcami.

Amerika podejmuje plany monetarne, Amerika organizuje konferencję żywnościową, w Ameryce powstaje inicjatywa akcji "Okrętów pomocy dla Polski." Amerika mówi przez usta wiceprezydenta Wallace'a o "stuleciu prostego człowieka."

Niedowiarek polski, myślący kategoriami tak długo taskawie panującego nam w psychice i umysłowości społecznej króla Cwicoczka bąknął: — "No dobrze, dobrze, ale co w wojnę? Tak sobie poczynają jakby już wojnę wygrali."

Jeżeli jest coś najbardziej "amerykańskiego" w tej robocie Ameryki to chyba właśnie to, że chętniej i obszerniej myśli się i mówi o planach urzędzenia świata w chwili, gdy plany zburzenia zła na świecie, plany wojenne, zostały nie tylko dokładnie wypracowane, ale co więcej, gdy w te plany się wierzy, gdy się dobrze zna własną siłę.

Przed kilku tygodniami przybył z U.S.A. mój przyjaciel Polak. Powiedział do mnie: — "Amerykanizm to coś bardzo ludzkiego. To najpiękniejsza myśl o ideale świata. Największy ból przeżyła chyba Amerika w chwili przystąpienia do wojny. Nie miał on nie wspólnego z izolacjonizmem, przeciwnie, był to cichy, ukryty żal z powodu konieczności burzenia rozpoczętej budowy dobra i piękna narodowego przez podjęcie niezbędnych środków dla własnej obrony i obrony świata."

To, co powiedział mi przybyły z Ameryki Polak zbiegło się w dziwny sposób z tym, co wyczytałem w ciekawym artykule J. M. Wróblewskiego, w numerze 20-ym "Wiadomości Polskich" p.t. "Patriotyzm Polonii Amerykańskiej."

... Kultura amerykańska jest kulturą przyszłości. Proces powstawania narodu amerykańskiego o odrębnej kulturze nie jest oczywiście zakończony. Wojna obecna, jak zresztą poprzednia, w procesie scalania się tego narodu odegra poważną rolę. Narodów wierzeli wraz ze swymi kierownikami, że lata spokoju, zapewnionego Oceanem, pozwolą na dalszy, w korzystnych warunkach, odbywany rozwój opisywanego procesu. Z beźmiernym żalem amerykańscy uczeni i politycy widzą, że ten przepiękny proces ulega, zdeformowaniu przez konieczność przyję-

cia dla celów obrony kraju gotowych, starych, a bezwzględnie pełnych wad wzorów europejskich. Narod amerykański jest jak młody koń, którego jeszcze szkoda używać, bo nie wyróżnia tak pięknie jak mógłby, ale który niewątpliwie może już chodzić pod siodłem, a nawiasem mówiąc jest już tak wielki i mocny, że przy nim koń niemiecki wydaje się starym i słabym, choć złośliwym kucem z powycieranymi zębami i pozrywanymi nogami.

Mój przyjaciel po odwiedzeniu Londynu i Szkocji przyznał się bardzo prywatnie, że dwa artykuły w prasie polskiej, które przeczytał tutaj, odpowiadają jego poglądom: jeśli idzie o Amerykę, to właśnie ten artykuł Wróblewskiego, a jeżeli chodzi o odczucie terenu tutejszego, to... — niestety, niestety — artykuł wstępny Jacka Lisa w numerze 19-ym "Polski Walczącej" p.t.: "Nie rozumiem."

Dziwna rzecz i godna zastanowienia. Jacek Lis wrócił z niewoli i patrzy na nas ostro, bezwzględnie, oczami człowieka dopiero co przybyłego ze "Stalagu"; mój przyjaciel przybył z U.S.A. z najbardziej polskiego ośrodka w Ameryce — Chicago — i patrzy tak samo. Jest to niewątpliwie niebezpieczne dla nas, może krzywdzące, jeżeli weźmiemy pod uwagę ostatnie, naprawdę jakby lepsze nastroje, zmierzające do uzyskania spistości emigracji polskiej na terenie Wielkiej Brytanii — nie mniej jest to zastanawiające.

Amerika mówi do Europy. Ale co Europa mówi do Ameryki? A w szczególności co my mówimy do Ameryki? My Polacy, którym patriotyzm Polonii Amerykańskiej toruje i ułatwia drogę do wielkich i świeżych źródeł na ziemi Nowego Świata. Są to nie tylko poważne możliwości pomocy materialnej na czas powojenny dla straszliwie wyniszczonego Kraju, ale przede wszystkim są to potężne źródła moralne. Jest to siła, której utrata w tych warunkach wytłumaczona być może jedynie i wyłącznie niedorozwojem naszej umysłowości, beznadziejnością biurokratów, albo apatią narodową o wszelkich cechach psychozy emigracyjnej.

Budzą się jednostki wśród nas, owszem, budzą się nawet grupy ludzi i próbują mówić do Ameryki. Ale jest to kropla w oceanie. Rzeczy polskie, prowadzone przez nas na terenie Ameryki, odbywają się albo na małą skalę, albo wogóle. W każdym razie można stwierdzić z czystym sumieniem, że jeżeli na-

wet są podejmowane pewne próby — to nie trafiają w istotę rzeczy; co gorzej: czasem psują sprawę.

Mówi mi mój przyjaciel: — "Roboty jest spóźniona o dwa lata. Ale nawet teraz można by wiele rzeczy dokonać przy dobrej, elastycznej, nie biurokratycznej organizacji, przy dobrym rozpoznaniu terenu i ludzi w U.S.A., przy dokładnym obliczeniu możliwości współpracy Polonii Amerykańskiej."

Jak wynika z doświadczeń fiasko różnych naszych imprez na terenie Ameryki miało swoje całkiem zrozumiałe uzasadnienie w starych i pielęgnowanych jeszcze tu i ówdzie "cnotach" narodowych: oficjalności i sztuczności. Ten cocktail "cnot" nazwałem kiedyś w skrócie, dawno, bo jeszcze w r. 1937 w Polsce: "Nadętów." Nie wątpię, jeżeli przez Nadętów mamy stracić U.S.A., to lepiej zastanowimy się, jak stracić Nadętów.

Ktokolwiek przybywa z Ameryki podkreśla warunek prostoty i naturalności zarówno w stosunku do Amerykanów polskiego pochodzenia, jak i do stu procentowych Yankeeów. Ktokolwiek stamtąd przybywa przynosi nam S.O.S. wolać o jak najszybsze podjęcie działania przez polską myśl, kulturę i aktualną informację. Każdy podkreśla, że w porę podjęte działania mogą zaważyć nie tylko na najbliższych wypadkach, ale na przyszłości całych pokoleń naszych w Polsce i Polonii Amerykańskiej.

Nie oskarżamy ludzi, nie wskazujemy osób, nie nazywamy spraw konkretnie. Oczywiście do czasu. Ale wolno nam w tej chwili wolać o to, co więcej każdy z publiczności polskich będzie to uważał za swój obowiązek, bo sprawa ta jest wielka. Większa od największych reorganizacji, od najdłuższych memoriałów, od najtrudniejszych budżetów, najzawilższych zmian personalnych.

O gdyby zerwał się wielki wicher oceaniczny, gdyby przemiottił burka i szufłady naszych biurokratów "czasu wojny" w Wielkiej Brytanii, gdyby błysk Nowego Świata padł na te zapracowane, nieuchwytnie, zawałone własnymi teczkami osoby. Gdyby... A tymczasem wielka sprawa, może jedna z największych w tej chwili, czeka.

Jeżeli powiedział pewien żołnierz amerykański, że "Wielka

Brytania wygląda tak jak Ameryka przed 50 laty," jeżeli mój przyjaciel mówi mi: "Chcesz zobaczyć, jaką będzie Europa za 50 lat, jedź do Ameryki!" — ta prosta kalkulacja wykazuje, że za sto lat Polska będzie Nowym Światem. Epoka "prostego człowieka" przy dyktowaniu woli naszych przyszłych dygnitarzy może nastąpić nieco wcześniej. Trzeba się więc spieszyć. Może jednak uda nam się wcześniej zbudować lepszy, na nowych wzorach oparty, własny kąt, który ma najpiękniejsze imię na świecie POLSKA.

Wylczyłem przy pomocy fachowców amerykańskich, że idąc śladem ich kalkulacji, w najlepszym wypadku jako świadek ogólnego szczęścia wszech-europejskiego będę liczył... 120 lat, wylczyłem, że niektórzy z naszych zainteresowanych w tej sprawie ludzi będą mieli po 180 i 200 lat, więc na miły Bóg w własnym interesie powinniśmy się pośpieszyć.

Ale do rzeczy: co należy zrobić? Prosto mówiąc, trzeba wystawić pierwszorzędną ekipę informacyjną na Amerykę. Dobrą, zgraną, odpowiednio wyposażoną /z bardzo małym biurem — ważne! / jeżeli mowa o wyposażeniu to w każdym razie trzeba przewidzieć, że da się jej z jednego wydania propagandowej książki nie 10 egzemplarzy do rozestania, ale co najmniej dwa tysiące. Zespół taki mógłby przejść odpowiednie przeszkolenie przy pomocy Polaków, znających dobrze teren, a przybyłych niedawno do Wielkiej Brytanii z U.S.A. Oczywiście działanie tych ludzi musiało być związane z Polonią Amerykańską i "kongresmanami" polskimi w Stanach Zjednoczonych, co jest nieodzownym warunkiem powodzenia takiej wyprawy.

A po tym pozostaje chyba tylko pobłogosławić taką ekipę i w spóźnionym równo o trzy lata terminie wystać na trudną, ale rzetelną robotę, której skutki nie dadzą na siebie czekać. A jeśli nawet dadzą, to warto trochę poczekać. Nawet jeżeli wojna skończy się jutro, to pojutrze powinna taka ekspedycja polska wystartować do U.S.A., bo zielony stół — jak wiemy z doświadczeń — czasem wiruje. Pod ten ruch zagrać właściwą melodię, znaleźć odpowiedni rytm — oto zadanie warte oderwania się od tezek i papierów, opatrzonych czerwonym napisem: Pilne!

Stuszenie powiedział mój przyja-

ciel: — "Jeżeli zaraz nie możecie posłać tam ludzi, to nawiążcie przynajmniej kontakty na odległość, n.p. kongresmanami polscy są bardzo oddani i życzliwi naszej sprawie. Warto by im posłać kilka broszur o Polsce. Mam parę adresów..."

Oburzyłem się naprawdę: — "Jak to, co ty opowiadasz? Naprawdę mają książki o Polsce, wydane w języku polskim czy angielskim. Niemożliwe, aby nie mieli! Jednak uparł się: — "A nie mają." Więc wziąłem adresy i będziemy się starali o te broszury. Ale czy to jest zajęcie dla skromnego plutonowego, który wchodzi do "Rubensa" dostaje bicia serca i obcasów, a w "Strattonie" zawrotu głowy /jak wielu? / Jednak spróbuję. Epoka "prostego człowieka" obowiązuje.

"Gdy tak się na was patrzę tutaj w Wielkiej Brytanii po dwóch latach niewidzenia — kończy rozmowę mój przyjaciel — obserwuję, że zbudowaliście sobie jakiś świat koniecznych autorytetów — w dodatku obcych, na które powołujecie się w każdej najblizszej czy najważniejszej sprawie, choćby była ona jasna i dawno przesądzona. Wygląda to na zachwianie się w własnej pewności. Razi mnie to, że ciągle ktoś tutaj powołuje się w sprawie Lwowa na "Timesa", a w sprawie Chopina na "Scotsmana"; ostatnio spotkałem wiele osób, które biadały, że "Times" "napisał o Koperniku": "Zmienne dzieje tego zakątka Europy czynią trudnym ustalenie z całą pewnością pochodzenia Kopernika."

To przecież nie ma żadnego znaczenia — ciągnął mój przyjaciel — skoro wiemy, że nasz jest Chopin, że nasz jest Lwów, nasze Wilno i nasz Kopernik..."

Wynika z tego, że "Times" nas zaczarował. To trzeźwe, realne spostrzeżenie Polaka z Ameryki niewątpliwie ma w sobie wiele świeżości. Taki powiew pewności będzie zaletą każdego polskiego "zakątka" — pewnie co najmniej za lat 50.

"Zmienne dzieje tych zakątków polskich" — bardzo zmienne, bolesne i krwawe. Nikt nam nie odbierze tych doświadczeń historycznych i nikt nie zwróci też pokoleń. Los zakątków polskich naprawić możemy tylko własnymi rękami i własną myślą. Teraz, gdy gdzieś daleko od nas rodzi się idea nowego świata.

I dlatego w chwili, gdy Amerika mówi do Europy, Polska musi mówić do Ameryki.

WIKTOR BUDZYŃSKI

"Można powiedzieć, że był on w wojnie z Niemcami przed wszystkimi innymi, za wyjątkiem Polaków." Tymi słowami rozpoczął reporter "Daily Expressu" swą charakterystykę "najbardziej udekorowanego lotnika tej wojny," Guy Penrose Gibson'a V.C., dowódcy nalotu na zapory wodne w Ruhrze.

Ma on dziś lat 25. Na dwa dni przed wybuchem wojny był na swej żaglowce gdzieś przy brzegu Anglii, gdy jeden z jego przyjaciół podплыł do niego z telegramem nakazującym natychmiastowe stawienie się do eskadry. W dwa dni później, ledwo umilkły słowa Chamberlain'a wypowiadające wojnę Niemcom, Gibson leciał na bombowcu na Kiel. Z tej wyprawy — pierwszego nalotu brytyjskiego na Niemcy — przywoził z powrotem wszystkie bomby, ponieważ... nie umiał znaleźć celu.

Brał udział w walkach w Francji. Był nad Sedanem i nad Flandrią. Wtedy zestrzelił swego pierwszego Niemca. W "Battle of Britain" był pilotem na nocnym myśliwcu. W ciągu dwu miesięcy odbył 99 lotów operacyjnych i zestrzelił 3 "Heinkle" i jednego "Dorniera." Potem powrócił znowu do "Bomber Command." Był nad Le Creusot, Mediolanem, Turynem, Genuą, Berlinem, Stuttgartem, Essen. Brał udział w nalocie na kanał łączący Dortmund i Ems.

1 kwietnia b.r. został "uziemiony." Tak się przynajmniej wydawało jego kolegom, którzy wygadywali nawet na niesprawiedliwy władz RAF'u. W rzeczywistości przygotowywał się do nalotu, który zyskał mu światową sławę. Gdy zrzucił już swe bomby na zapórę wodną w Mohne, latał przez dłuższy czas tam i z powrotem, aby sięgnąć na siebie ogień niemieckiej obrony przeciwlotniczej i ułatwić w ten sposób akcję innym samolotom brytyjskim. Za-

ten wyczyn zdobył Victoria Cross, który zawisnie na jego piersi obok D.S.O. i D.F.C. z wstęgą.

Sygnalizujemy bardzo ciekawy artykuł w "Tribune" z 28.5.43. Jest to "How to use Tanks" przez Lt.-Gen. Jacob L. Devers. General Devers jest głównodowodzącym amerykańskich sił zbrojnych w Europie. Artykuł jest zwięzły i ścisły, aby się nadawał do streszczenia, zalecamy jednak zainteresowanym przeczytanie oryginału.

Wojna obecna przy całym swym skomplikowaniu i mimo swej totalności przywróciła dawne znaczenie jednostkowego wyczynu. Masowe ataki piechoty, przygotowanie artylerii i okopy ubiegłej wojny sprawiły, iż ludziom się wydawało, że czasy, kiedy jednostka decydowała o bitwie minęły bezpowrotnie. Wprawdzie pod koniec wojny, akcja lotnictwa przywróciła splendor bohaterstwu, brawurze i zręczności jednostki, jednak były to epizody, fragmenty działań wojennych i nie potrafiły one zaciąć anonimowej grozy "masówek" z pod Paschendeale, Isona czy Tannenbergu. Nawet akcja czołgów pod Cambrai była pomysłem i wykonana jako atak masowy. Wojnę ubiegłą cechowała szara jednostajność, której wyraz dali pisarze po obu stronach okopów: Dorgeles w "Les croix en bois" i Remarque w "Im Westen nichts Neues." To zawiąło także ów "kompleks linii obronnych," który przyćmił trzeźwość myślenia sztabu francuskiego zapatrzonego w fetysz linii Maginot.

Obecna wojna, już w pierwszej swej fazie pokazała wartość jednostki. Kampania wrześniowa zaskoczyła Polaków /i cały świat/

najzupełniej nowym sposobem używania czołgów. Wypadły na setki mil poza linie nieprzyjacielskie były czymś tak nowym i tak nieoczekiwanym, że mocarstwa zachodnie zlekceważyły sobie opór polski mówiąc: "Byli słabsi, nie przygotowani i niezorganizowani, więc ulegli."

Nawet my sami nie zdawaliśmy sobie sprawy z przyczyn naszej klęski. Ta nowa taktyka ataku czołgowego nie może być precyzyjnie opracowana i planowana. Zasięg współczesnego czołgu jest tak duży i kryje tak wiele możliwości i niebezpieczeństw, że dowódca kompanii czy nawet pojedyncze czołgi muszą wykazywać dużo inicjatywy. Wymaga to specjalnego szkolenia i specjalnego nastawienia myślowego i duchowego. Pierwsi zrozumieli to Niemcy i temu zawdzięczali swe początkowe sukcesy. Szkolenie wymaga czasu a Niemcy przygotowawali się do wojny oficjalnie od 1933 roku, nieoficjalnie zaś znacznie wcześniej.

Anglicy z wrodzonym sobie geniuszem wojennym w lot pojeśli nakazy wojny współczesnej /w lot — to znaczy, skoro tylko poczuli ją na własnej skórze/. Już 2 września 1940 r., a więc w chwili naprawdę najbardziej krytycznej, gdy żołnierze ewakuowani z Dun-

Koncerty ZASPu

TOLA KORIAN

będzie śpiewała
pieśni polskie, angielskie, szkockie i francuskie

w Ognisku Polskim,

45, Belgrave Sq.

dnia 19 czerwca o 3-ciej

po południu

Rozmaitości wojskowe

kierki jeszcze dobrze nie przyszli do siebie, nowo utworzone oddziały "Commandos" zrobiły pierwszy wypad na wybrzeże Francji, na latarnię morską w Casquet.

Od tego zaś czasu "Commandos", którzy z czasem przeszli w skład "Combined Operations Command" stale porastali w siłę. Byli w akcji we Włoszech /lutu 1941/, w kampanii afrykańskiej gdzie w ataku na kwatery główną Rommla, zginął zdobywając pośmiertnie V.C. pułk. Keyes pod St. Nazaire, pod Dieppe, w Norwegii i na Spitzbergen. Największą ich dotychczasową akcją była inwazja Afryki Francuskiej, próba generalna inwazji Europy.

Stworzenie i rozrost tej nowej formacji brytyjskiej opisuje książka wydana przez Public Relations Branch admiralicji p.t. "Combined Operations," którą przeczytać powinien każdy żołnierz i która warto by przetłumaczyć na język polski dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie, a zwłaszcza dla Junaków.

Wyprawa brygadiera Wingate'a to jedna z najbardziej "thrilling stories" tej wojny. Nic dziwnego, że cała prasa brytyjska jest jej pełna. Nawet stateczny "Times" poświęcił jej aż dwie całe kolumny redakcyjnej strony /24.5/. Dzieje się tak może dlatego, iż jest w tej "story" oprócz "thrillu" również coś znacznie głębszego — wojskowo i psychologicznie. Zasadniczego celu i przebiegu tej wyprawy nie podano do wiadomości publicznej, prawdopodobnie ze względu na tajemnicę wojskową ale te fragmenty i epizody, które się przytacza, wystarczają, aby zrozumieć jej znaczenie.

Dowódca wyprawy, Wingate nie

jest człowiekiem nowym. Pochodzi on z pobożnej purytańskiej rodziny i jest zawodowym żołnierzem. W 1938 r. odznaczył się w walkach z Arabami w Palestynie. Na czele paruset ludzi, z których połowę stanowili żołnierze brytyjscy a połowę palestyńscy Żydzi, pobił Arabów ich własną bronią — partyzantką nocną i zdobył D.S.O. W listopadzie 1940 wylądował z samolotu w okupowanej przez Włochów Abisynii i był duszą partyzantki podczas kampanii abisyńskiej. Po przystąpieniu Japonii do wojny, jako uznany już autoritet w "guerrilla warfare" został wysłany do sztabu gen. Wavella do Indii. Wyprawa burmańska była ukoronowaniem jego dotychczasowej działalności, ale nie jest ona tylko wyczynem czy zasługą jednostki. Jest wynikiem współpracy zespołowej, którą się Anglicy tak chlubią.

Wyprawa ta posiadała wszystkie cechy, które przemawiają do wyobraźni Anglików. Była awanturnicza, choć wykonana przez inteligentów i wellsowska przez stosowanie najbardziej nowoczesnych wynalazków w niecodziennej przegrodzie. Ot taki, jakże wiele mówiący obraz. W ciągu całej wyprawy brygada Wingate'a zaopatrywana była z powietrza w broń, amunicję, żywność i lekarstwa. Nawet rannych ewakuowano samolotami. Jeden z oficerów zażądał przesłania świeżo wydanej biografii Bernarda Shaw i otrzymał ją. Ktoś inny zgubił sztuczną szczękę — dostarczono mu nową spadochronem. Jeszcze komuś innemu posłano testament do podpisania — testament, który byłby przeпад, gdyby właściciel zginął. Ta mieszanina praktyczności, naiwności i intelektu ma w sobie coś co nas — ludzi kontynentu — śmieszy i bawi, ale kto wie, czy to nie ona właśnie kryje sekret angielskiego powodzenia.

DOMINIK SZCZERBIC

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £18.13.6 zebraną na pomoc dla Polaków w Rosji podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes," w Truro w czasie od 18 — 29 maja 1943. Była to 15-ta z rzędu miejscowość w której odbyła się wystawa. Ogółem oglądało ją 90,000 osób w następujących miej-

Wyszędź z druku czerwcowy zeszyt miesięcznika wojskowego "BELLONA," wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły: Dr. Tadeusz Offert — Psychotechniczna selekcja w armii; W.W. — Saperzy wczoraj i dziś; B.M. — Odpowiedź p. K.G., autorowi artykułu "Współwzrost broni"; Miesięczny przegląd ważniejszych wydarzeń wojennych; Recenzje.

Zrzeszenie Filmowców i Fotografów organizuje roczny Wyższy Kurs Fotografii przy Politechnice w Londynie. Słuchacze otrzymują pomoc materialną i naukową. Ilość miejsc ograniczona — pierwszeństwo będą mieli nauczyciele szkół średnich i powszechnych, mający podstawowe wiadomości z zakresu fotografii. Pisemne zgłoszenia należy nadesłać do dnia 15 czerwca 1943 r. pod adresem: Zrzeszenie Filmowców i Fotografów, 27, Albemarle Street, London, W.1.
Na odpowiedź należy załączyć znaczek pocztowy.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,936

scoowości: Edinburgh, Bradford, Blackpool, Nottingham, Leeds, Manchester, Liverpool, Sheffield, Gateshead, South Shields, Middlesbrough, Darlington, Chester, Exeter i Truro. Obecnie wystawa otwarta zostanie w St. Ives a na rozkładzie jest szereg innych miast: Cheltenham, Torquay, Ball, Swindon, etc. Dotychczas przesyłałem na ten cel £300 wprost do P.C.K.

Łączę wyrazy szacunku i powa-
żania
Paweł Miller

Do Redakcji "Polski Walczącej,"
W załączeniu przesyłam "Postal Order" na sumę 20 sh. na fundusz pomocy dzieciom-sierotom w Rosji.
Z poważaniem
Paweł Wysocki

W załączeniu przesyłam kwotę £7.12.0, złożoną przez żołnierzy dyonu w miesiącu maju br. z prze-

znaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu
W. Jan major

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £13.12.7 zebrane przy wyplacie poborów i żołdu w Pułku Przeciwpancernym — na fundusz pomocy polskim dzieciom-sierotom, wyewakuowanym z Rosji.
Z poważaniem
J.L. rtm.
II Z-ca D-cy pułku

For the Poles in Russia Fund £1 from
Mr. and Mrs. Walker,
Sunnyview, Kingskettle, Fifeshire

Przesyłam 10 sh. na Pomoc Polakom w Rosji.
Marian Aleksander Strumiński

Zebrane drogą dobrowolnych dat-

ków wśród żołnierzy Baterii Sztabowej jednej z W.J. a złożone na moje ręce "na pomoc dla dzieci — sierot i dla rodzin w Rosji" £5.18.2. przesyłam
ks. Warakomski

Na pomoc dla Polaków w Rosji przesyłam kwotę £2.0.0 /dwa funty/.
J.K.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £50.6.3. /słownie pięćdziesiąt funtów, sześć szylingów i trzy pence/ przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,936.0.6 /słownie osiem tysięcy dziewięćset trzydzieści sześć funtów i sześć pensów/, 28 dolarów kanadyj-

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam te kilka zeszytów lub książek dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie. Nieodpowiednie — zdaniem Panów — proszę wyłączyć i dać na salvage.
Eug. G. por.

Załączone: Flirt polsko-angielski.

Liddell Hart: Obrona dynamiczna. V. Maugham: Lies as Allies. St. Mackiewicz: O jedenastej powiada aktor sztuka jest skończona. Co słyhać /nr. 35, 33./ Bauer Czarnomski: Sam na sam. French English of Technical Military Terms.

P. Wiktor Budzyński ofiarował 40 egzemplarzy broszury Arc. Teodorowicza: "O miłości Ojczyzny" /por. felieton "Bez blackoutu," druk. w nr. 18 "Polski Walczącej"/.

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1412 książek.

skich, 108 pesetów hiszpańskich, pięć i pół dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JENCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Dear Sir,
Would you kindly forward the enclosed cheque for £6.6.0 for the Polish Relief Fund as a little token from the Catholics of Clacton for their gallant Allies and fellow-Catholics on the occasion of their National Day.
With every kind wish and the assurance of our prayers,
Yours sincerely,
D. Ward, Lector

Oficerowie i Podoficerowie na terenie RAF Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu kwietniu 43 r. £15.3.0.

Kierownik Wydziału dla Spraw Polaków w ZSRR.
/Zofia Leśniewska/

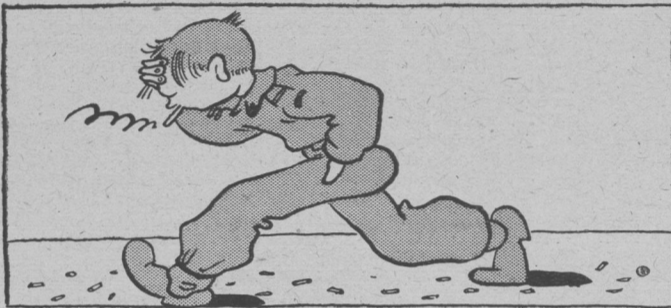
WIECZÓR POEZJI I PROZY

Staraniem tygodnika "Wiadomości Polskie" w piątek 11-go czerwca b.r. o godz. 6.30 w sali Ogniska Polskiego odbędzie się wieczór poezji i prozy. W wieczorze tym udział wezmą: Aleksander Janta, Ryszard Kiersnowski, Janusz Laskowski i Jan Rostworowski. Słowo wstępne wygłosi Antoni Bogusławski.
Wstęp 2 sh., wojskowi 1 sh. Dochód przeznaczony na rzecz jeńców polskich w Niemczech.

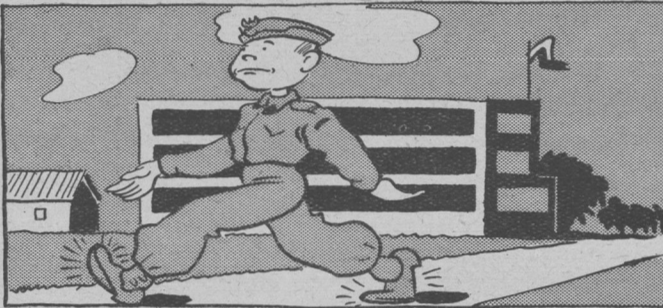
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Tym rodzinnym spotkaniem Pompka bardzo się zmieszal I na swojej przeszłości Przez dzień cały psy wieszał.



Lecz mazajutrz wyczyścił Buty, dress, furażerkę No i poszedł odwiedzić Egzotyczną szwagierkę.



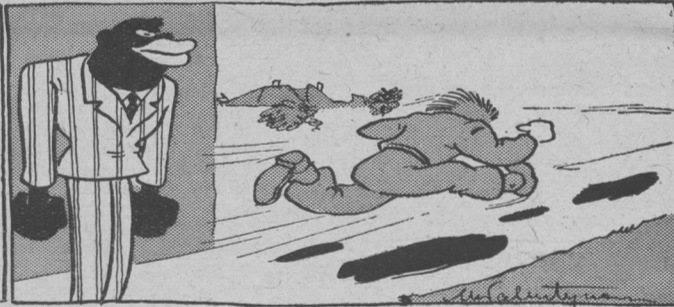
Lecz niestety szwagierka Nie czekała nań sama— Powitali go w progu Czarny tatuś i mama.



Zanim w mowie Szekspira Walań zdania dwa sklecił Otoczyły go nagle Czarne koty i dzieci.



Biedne serce Walusia Wlażło w końcu do grdyki,



Gdy szwagierka krzyknęła: To twój chłopczyk z Afryki! Potem szwagier się zjawił. Bokser. Śmiał się donośnie. Zbladł Walenty—zawrócił— Biegiem zwał gdzie pieprz rośnie.

POLSKI ZJAZD KATOLICKI

Pod protektorem J. E. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczyńskiego i J. E. Delegata Apostolskiego Ks. Arcybiskupa Williama Godfrea odbędzie się w Londynie w dniach 28 i 29 czerwca br. Polski Zjazd Katolicki.

Celem Zjazdu jest przedyskutowanie na pięciu Komisjach problemów dotyczących jednostki, rodziny, kwestji społecznej, państwa i ładu międzynarodowego.

Komitet Organizacyjny prosi wszystkich zainteresowanych, którzy dotąd jeszcze nie zgłosili się, o podanie nazwiska i imienia oraz adresu pod następującym adresem: Komitet Organizacyjny Polskiego Zjazdu Katolickiego, 27, Grosvenor Street, London, W.1.

SPIS RZECZY:

Stanisław Szurlej: Guarda e passa. — Aleksander Janowski: "Stars and Stripes." — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Stefan Łaskiewicz: Jan Grudziński /II. Legenda/. — Bogumił Andrzejewski: Wspomnienia z obłężonego Tobruku /IV./. — Edward Ligocki: Skrzydła nad światem. — Władysław Wójcik: Zaciąg ochotników z nad rzeki Iwai /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Porucznik Herbert: Czwarte powstanie. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Dominik Szczerbic: Rozmaitości wojskowe. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Na jeńców polskich w Niemczech. — Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie. — Ryszard Pobóg: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentynowicza/. — Rysunek Tadeusza Lipskiego. — Fotografie.

MUNDURY DLA OFICERÓW.

Armii, Lotnictwa, Marynarki i Służb Kobiecych.

Gotowe na składzie lub na miarę.

Wszelkie dodatki ekwipunku wojskowego

J. C. SMITH, LTD.

Przedstawiciel Burbery i Aquascutum,

91, LOTHIAN ROAD, EDINBURGH 3

137, High Street, Dunbar.

19, Bell Street, St. Andrews.

Nakładem SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ

z cyklu Biblioteki Narodowej

Z. Krasieński: IRYDION 6/-

" " PRZEDŚWIT 4/-

1, Atholl Place, Edinburgh

DUŻA FIRMA WYROBÓW POŻARNICZYCH

poszukuje nowych wynalazków w dziedzinie gaszenia, zwłaszcza za pomocą płynów niepalnych. Zgłoszenia pisemne pod "Gaśniki" do Adm. "Polski Walczącej."

ZAPRASZAMY ŻOŁNIERZY POLSKICH

do odwiedzania naszego sklepu.

ofiarujemy:

Wyroby skórzane i paroiane.

Ołstry — Pasy wojskowe i t.p.

Noże — Trzcinki — Lornetki i t.p.

COGSWELL & HARRISON,

Rusznikarze, 168, Piccadilly, London, W.1.

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyliby sobie

NOWY TESTAMENT lub EWANGELIE SW. JANA

w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do pana S.K.

Hine, 110, Christchurch Road,

London, S.W.2.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OSWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

• STANISŁAW ZWIĄZEK, Pol. Red. Cr., 34, Belgrave Sq., London, S.W.1. poszukuje Antoniego SŁAWIŃSKIEGO z b. 39. pp. Jarosław, ostatni znany adres: Parthenay, rue Bombarde 1.

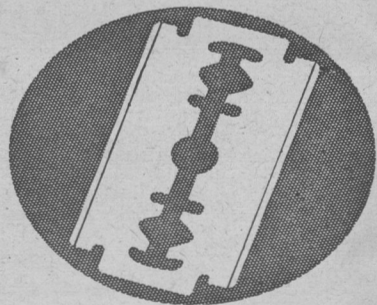
MICHAŁ HALIŃSKI, Royal Victoria Hospital, Netley, Hants., n/Southampton W. 86, poszukuje Adama MALACHA i Władysława STRZELCZYŃKA z Korzenicy pow. Jarosław.

PIOTR WINNICKI, Royal Victoria Hos., Netley, Hants, n/Southampton, W. 86 poszukuje KEPA oraz:

WOJNIUZ z 77. pp. Lida oraz wszystkich znajomych którzy by mogli pomóc mu przy weryfikacji stopnia.

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKOBA, MONKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.



Co najlepsze to najtańsze wybieraj więc

Gillette i zaoszczędzisz stali